



Jędrzej Kwiatkowski
**NIKT
NIE ZABIJA
BEZ POWODU**

Jędrzej Kwiatkowski

**NIKT NIE ZABIJA
BEZ POWODU**



Wydawnictwo Morskie Gdańsk—Bydgoszcz 1983

Rozdział I

Więzień, Roman Spaśkowski, skończył pisać list i odłożył długopis. Jeszcze raz przebiegł pismo oczyma, po czym wyjął niebieską kopertę z przyklejonym już znaczkiem, włożył w nią zapisaną drobnym pismem kartkę i starannie zakleił. Następnie na skrawku papieru zapisał adres, na jaki miał być wysłany list, i schował to wszystko w kieszeni spodni.

Na korytarzu, w pobliżu dyżurki, kręciło się kilkunastu więźniów, którzy, za chwilę mieli wyjść do kuchni i przynieść obiad. Spaśkowski podszedł do jednego z więźniów, zamienił z nim kilka słów, a więzień bez wahania kiwnął głową i odszedł od grupy.

W drzwiach dyżurki pojawił się oddziałowy.

— Wszyscy? — zapytał i nie czekając na potwierdzenie, otworzył kluczem drzwi. Więźniowie wysypali się na schody.

Spaśkowski wyskoczył jako jeden z pierwszych. Szybko zbiegł na parter i ukrył się za drzwiami wiodącymi do piwnic. Pozostali zgromadzili się przed blokiem i czekali chwilę na oddziałowego, który poprowadził ich do kuchni. Stali przed nią już więźniowie z innych oddziałów, czekając w kolejce na kotły z zupą, ziemniakami i, ponieważ był akurat poniedziałek, śledziami i kompotem.

Spaśkowski odczekał chwilę, by grupa oddaliła się trochę, potem ostrożnie wyjrzał zza drzwi i upewniwszy się, że strażnik nie rozpozna go z tej odległości, ruszył wolno za odeszłymi w stronę oddziału siódmego. Więzień mógłby wprawdzie uzyskać zezwolenie na opuszczenie oddziału, lecz ostatnio zarobił raport za samowolne wyjście na teren więzienia i w tej sytuacji nie próbował nawet prosić oddziałowego o pozwolenie udania

się na inny oddział. Poza tym nie lubił prosić.

Oddział siódmy zamieszkiwali więźniowie pracujący na wolności. Trzy piętra wysuniętego w stronę dziedzińca skrzydła zajmował tylko jeden oddział. W przeciwieństwie do innych pięter bloku drugiego i pierwszego — w skład którego wchodził zresztą oddział siódmy — był tutaj tylko jeden wychowawca i jeden oddziałowy.

Spaśkowski niepostrzeżenie prześliznął się obok drzwi na parterze, gdzie była dyżurka, i wbiegł na drugie piętro.

— Jest Juras? — zapytał więźnia siedzącego na koi przy otwartych na oścież drzwiach.

— Grają tam w sztory — kiwnął głową zapytany.

Na jednym z dwu stołów pod oknami leżały jakieś książki i gazety z rozwiązanymi w części krzyżówkami. Czterej więźniowie siedzący po obu stronach stołu ściskali w rękach mocno zniszczone karty. Grali w baśkę.

— Słuchaj, mam do wysłania gryps. Mógłbyś to obla- twić? — Spaśkowski pochylił się do ucha jednego z grających.

— Wiedziałem, że musisz coś mieć — odparł głośno Juras. — Inaczej byś nie przyszedł, no nie?! A czaju nie potrzebujesz?

— Przydałby się, ale na razie nie mam hajcu, a ze szlu- gami wiesz sam jak jest.

— Każdy wie. Kryzys — odpowiedział wolno Juras. — Co to za gryps?

— Do Torunia. Po chwili wahania dorzucił: — Do znajomego.

— W porządku.

— Tu masz adres — podał kawałek papieru. — Ale adresuj dopiero za bramą, git?

— W porządku, w porządku. Też tak wolę.

— No, to dzięki. Przy wypisce zaparzymy cośkolwiek czaju,

— Juras, graj — wtrącił jeden z partnerów. — Zaraz przyniosą obiad, a wtedy to żadna gra.

— Już, już. Chwilę — uspokoił kolegę.

— Spadam — zakomunikował Spaśkowski. — Wyszedłem z oddziału niby to po obiad. Jak się klawisz jorgnie, może znowu coś brąchać. Sie masz.

— Kiedy wychodzisz? — spytał Juras.

— Za miesiąc.

— Wpadnij za parę dni. Może się zorganizuje jakiś czaj. Tylko daj przedtem cynk, żebym wiedział.

Spaśkowski zbiegł na parter i zaczął czekać na wracających z kuchni. Trzech więźniów niosących dwa kotły z ziemniakami przystanęło i ten, który miał zajęte obie ręce, zwolnił uchwyt jednego kotła, Spaśkowski zajął jego miejsce i tak powrócił na oddział.

O szóstej trzydziści Juras i siedemnastu innych więźniów z grupy budowlanej ustawiło się parami przed oddziałem i ruszyło do pierwszej bramy.

— Ty, kopsnij jakiegoś szluga — dobiegł Juras głos z okna na pierwszym oddziale, przed którym właśnie przechodzili. Zatrzymał się i podał ostrzyżonemu na zero więźniowi dwa papierosy. Tamten powiedział „dzięki”, a Juras odchodząc usłyszał jeszcze zza okna jakiś drugi głos: „Faraon, kopsnij zajarać”. Ponad tym głosem rozległ się trzeci: „Szach na pojarkę”.

Kryzys jest większy niż myślałam, skonstatował Juras.

Strażnik otworzył przed nimi małe drzwi z metalowych prętów. Drzwi te były częścią szerokich wrót, przez które przejeżdżały samochody, osadzonych między dwoma odcinkami wysokiego, ocementowanego muru. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie bramy na niewielkim, wyłożonym trelinką placu, którego boki stanowiły dwa ramiona muru z bramą, którą minęli, dwupiętrowy budynek administracyjny z czerwonej cegły o spiczastym dachu i główna brama więzienia, strażnik kazał im stanąć w szeregu przed budynkiem.

— Co tam macie dziś ciekawego? — rzucił z uśmiechem.

Więźniowie stali nieporuszeni, patrząc beczelnie na strażnika.

— Nie chcecie powiedzieć. Obejdzie się. Ty, ty, ty i ty — wskazał palcem czterech więźniów — dwa kroki do przodu i zdjąć buty.

Juras był jednym z wyznaczonych. Stał teraz, podobnie jak

trzej pozostali, pochylony nad sznurowadłami i dziękował sobie w duchu, iż nie uległ sugestiom Pelikana, i nie schował listu w bucie.

U jednego z więźniów strażnik znalazł dwa listy i zatrzymał je wraz z „listonoszem”. Tak powiedział:

— Znalazł się jednak listonosz.

Reszta przeszła przez drugą bramę, za którą był już inny świat. Zanim jednak opuścili teren więzienia, poddani zostali kolejnej rewizji. Jednak strażnik nie był tak gorliwy jak jego kolega. Obmacał tylko powierzchownie paru więźniów i przeszedł do sprawdzania listy, którą wziął w ręce, kiedy więźniowie przekroczyli pierwsze drzwi. Wyczytał wszystkie nazwiska i spytał:

— A tamten nie idzie? — kiwnął głową w kierunku więźnia, przy którym znaleziono listy.

— Tamten, na pocztę — powiedział jeden z więźniów. A Pelikan dorzucił:

— To chyba pan powinien wiedzieć czy idzie, czy nie.

— Uważaj, żebyś i ty nie został — warknął strażnik. Patrzcie go, fetniak się znalazł.

— Przynajmniej se odpoczne — odparł beztrąsko Pelikan.

— No, no! — powiedział strażnik i otworzył ciężkie metalowe drzwi.

Lewą stroną jezdni, wzdłuż murów, szli na pobliską budowę, zerkając niekiedy na kobiety z chodnika. Wystarczyło, by któraś miała bujniejsze kształty lub była urodziwsza od innych, a natychmiast rzucali żarciki w rodzaju: „Taka ładna, a nie w ciąży”, i rechotali z własnych dowcipów.

— Gdzieś skitral ten gryps? — zapytał Pelikan.

— Na plecach.

— Tym razem powiodło się. Ale co mu strzeliło do tego pustego łba, żeby kazać zdejmować buty?

— Nie znasz go? Najchętniej by chciał, żebyś zdjął portki. To jakiś erotoman.

— Tylko że dzisiaj według moich obliczeń na bramie powinien stać Kociołek.

— Weź przestań. Chcesz mnie rozśmieszyć? Znalazł się

matematyk... Według moich obliczeń — przedrzeźniał Pelikana.

Weszli w zakręt i minęli więzienie.

Była to grupa więźniów z kilkumiesięcznymi wyrokami, wskutek czego chodzili do pracy bez konwojenta, dlatego też mogli bez przeszkód rozmawiać i gapić się do woli na przechodzące kobiety. Przed opuszczeniem terenu więzienia nie byli zbyt dokładnie rewidowani. Inaczej rzecz się miała, kiedy wracali z pracy. Wówczas strażnicy zwiększali czujność, byli bardziej skrupulatni i często więźniom odbierano paczki herbaty i, gdy mieli zbyt dużo, papierosów.

O szóstej pięćdziesiąt pięć wkroczyli na teren budowy, a w chwilę później zaczęli przebierać się w robocze granatowe dreluchy z wymalowanymi na plecach białą farbą znakami Z K, które to znaki cywile złośliwie rozszyfrowywali jako Zakład Krawiecki.

— Jasna cholera! — zaklął nagle Juras.

— Co jest?

— Cholerny gryps — pokazał Pelikanowi rozerwaną kopertę.

— W ogóle o nim zapomniałem. Zdejmowałem koszulę i... szlag by to trafił. By to grom jaśnisty zapalił.

— Nic się nie stało. Nawinie się jakiemuś cywilowi i oblatwi kopertę. Czekaj, mam tu faceta, który to zorganizuje — obwieścił Pelikan i zniknął w jednym z barakowozów. Po chwili wyszedł, niosąc przed sobą kopertę niczym chorągiew.

— Co to za gryps? — zainteresował się, kiedy Juras przekładał kartkę do nowej koperty. — Może zobaczymy. Nic się przecież nie stanie. Pokaż — powiedział zdecydowanie i nie czekając na zgodę, wyjął list z rąk Juras. Obaj pochylili się nad pismem.

List był krótki i zawierał informację o wyjściu Spaśkowskiego na wolność i żądanie czy też prośbę o przygotowanie kilku tysięcy złotych.

— Widzisz! Nic ciekawego — powiedział teraz Juras.

— Patrzcie go, jakby on nie czytał tego listu tylko ja.

— Bo wyrwałeś mi z ręki!

— Ja?!

- Ty. A co to za Karakan, znasz go?
- Nie znam, może jakiś krewny albo kumpel.
- Przecież też jesteś z Torunia.
- Ty, mundry, Toruń ma sto czterdzieści tysięcy mieszkańców. To nie jest jakaś-tam pipidówka. Myślisz, że to jak u was: położysz się na rynku, to nogi masz w kartoflisku.
- No, no, słyszałem, że ten cały Toruń mają zaorać — odciął się Juras.
- Dlaczego ty cały czas tylko o tej z i a m i?
- A ty o czym?
- O marynistyce.
- Czego?!
- O dupie Maryni, sieroto.
- Ej, wy tam! — krzyknął któryś z więźniów. — Znowu macie naradę? Arbajt! Nie będziemy za was tyrać.
- Nikt ci nie każe — odkrzyknął Pelikan i wolno powlókł się do baraku z narzędziami.
- Ty — rzekł Juras idący za Pelikanem — to może kopsnij temu facetowi, od którego dostałeś kopertę, gryps. Co?
- Dobra.
- Tylko żeby nie zrobił przewalany.
- Co ty, a bo to pierwszy raz wysyła mi listy. A gdybyśmy mieli hajc, to mógłby nam przynieść czaju.
- Ale hajcu nie ma i musi ci wystarczyć łabędziowa.

Przed kolacją wpadł Spaškowski.

— No i jak?

— Gites. Poszedł. Miałeś jakieś niejasności?

Rozdział II

W osiemnastoosobowej celi przebywa jeden więzień. Pozostali wzięli ławki i poszli do sali telewizyjnej.

Więzień leży na koi z rękami pod głową. Nogi oparł o poręcz. Kiedy to się wreszcie skończy? Roman ma już wszystko za

sobą. Żłopie teraz pewno w jakiejś knajpie. No i ciekawe, czy faktycznie coś skitrał. Adam i Szymek powinni go przyfilować, jeżeli znowu nie garują; dawno nie było od nich grypsu — monologował. Sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął papierosa. — I ten cholerny zeks; uparł się, że przejdę pod dwa — trzy. Ale będzie mnie tam oglądał, jak Mańce stanie. Ciągłe coś cierpi.

Na cichym dotychczas korytarzu rozległ się głośny śmiech, rozbrzmiały krótkie, urywane zdania. Gwar początkowo koncentrował się w środku, przy świetlicy, by stopniowo rozciągnąć się na całej długości oddziału. Wreszcie wszystko wchłonęły cele.

— Stasiu, żałuj żeś nie był z nami — rzucił z uśmiechem jeden ze współwięźniów.

— Ale były przody — pokiwał smętnie głową drugi więzień, a inny rzekł:

— Chyba ze trzy lata temu widziałem takie many.

Do zachwyków nad dziewczynami widzianymi w telewizji i tęsknoty za dziewczynami materialnymi przyłączyli się pozostali więźniowie. Wkrótce zaczęli się kłócić, czy „ta. co siedziała z nim w kawiarni” była lepsza „od tej z teatru”. Coraz głośniej rzucali zdania przyozdobione niewybrednymi epitetami.

Stanisław Durko nie wydawał się być zainteresowany ogólną kłótnią. Nagle krzyki opadły, w drzwiach zachrobotał klucz i szcęknęła zasuwka. Do celi wszedł wychowawca.

— Głośniej już nie możecie, co?

— A bo, panie wychowawco, zobaczyło się trochę przodów — uśmiechnął się najstarszy wiekiem i stażem więzień.

— Niedługo i ty będziesz się mógł nacieszyć tym miodem. Tylko uważaj, żebyśmy nie musieli spotkać się ponownie. Skóra nie warta wyprawki — zauważył sentencjonalnie. — Mam nadzieję, że to zrozumiałeś. Człowiek powinien panować nad swymi instynktami, popędami, a nie jak zobaczy dziewczynę, to już kombinuje, jak by tu ją... A lata płyną, pomyśl o tym. Myśl o tym zawsze. — A ty — wychowawca zwrócił się do Durki — czemu nie byłeś na telewizji?

— Nie chciało mi się — wzruszył ramionami. I dodał: —

Wychowawco, niech mnie wychowawca zostawi pod tą celą. Przecież za trzy miesiące wychodzę.

— Zobaczymy, Durko. Ale niczego nie obiecuję. Oddziałowy ma do was zastrzeżenia.

— Który?!

— Sami powinniście wiedzieć.

— No, ale jak będzie?

— Zobaczymy. Dobranoc.

— Dobranoc — odkrzyknęli chórem.

Wychowawca wyszedł. Stojący w progu oddziałowy zamknął drzwi. Szczęknęła zasuwka. Więźniowie, wróciwszy do przerwanej kłótni, powoli zaczęli się rozbierać.

— Ponawijaj z oddziałowym — poradził Toni, przyjaciel Durki.

— Nie znasz go! Jak się uprze, to nie ma ratunku.

— Chodzi o tego, co mu pomogłeś spaść przez lipę?

— Przecież to nie ja! — wrzasnął. — Wszyscy się uparli — dodał spokojniej. — Stałem wtedy przy lipie — tłumaczył, pochylając głowę — i widziałem jak jeden z dwa-osiem pomagał mu prysnąć...

Powodem, dla którego Durko miał przejść do innej celi, była rzekoma pomoc, jakiej, według strażnika, udzielił jednemu z więźniów, który przez okno (na pierwszym piętrze) wydostał się z oddziału drugiego na dziedziniec więzienia, by przejść na swój oddział w innym bloku.

— To nawiń oddziałowemu, że to był kto inny.

— Mówiłem mu, że ktoś kogo nie znam, podał temu, co nie mógł wyjść drzwiami (widocznie nie miał pozwolenia), rękę. Tamten opuścił się za okno, nogami stanął na kratkach okna pierwszego oddziału i później normalnie zeskoczył..

I mówię mu, że ja tylko się temu przyglądałem, ale — machnął ręką — szkoda słów... — Zapalił papierosa i podjął: — A ten co faktycznie pomagał, prysnął do kibla. Nie mogłem przecież powiedzieć: panie oddziałowy, to jakiś inny, schował się w kiblu.

— Ale powiedziałaś mu, że to nie ty.

— Co z tego?! Myśli, że mu wstawiłem bajer.

– No jo. A pod dwa-trzy nie ma ludzi.
– Było trzech grypsujących, ale przeszli na trzeci oddział.
– Spróbuj jeszcze jutro ponawiać.
– Do krańcowy jeszcze tylko trzy miesiące, i takie przeboje.
Niech to krew zaleje.

Oddziałowy otworzył drzwi i dwaj więźniowie wynieśli stojak z butami i ubraniami złożonymi w kostkę.

Toni i Durko zajmowali górne sąsiednie koje, tuż przy drzwiach.

– Masz jaki czaj? – spytał Toni.

– Powinny być dwa maluchy. – Durko pogrzebał w sienniku i wyjął dwie małe paczki herbaty ulung.

W kilka minut później oddziałowy zgasił światło. Toni przyniósł termos z niewielką ilością wody, włożył własnoręcznie skonstruowaną grzałkę, przewody podłączył do rozetki wmontowanej nad jego koją.

– Co będziesz robił po wyjściu? – zagadnął Durko.

– Mam jeszcze czas na plany. A ty?

– Już ci kiedyś nawijałem.

– Myślisz, że Roman rzeczywiście skitrał towar?

– Diabli go wiedzą. Ale to możliwe. Wiesz, nieraz o tym myślę... To był duży sklep. Oprócz wina, czekolad, konserw i szlągów były tam różne drobne narzędzia, kilkanaście tranzystorów, części do telewizorów i radia. Każdy wziął po worku. Adam siedział w samochodzie przy kierownicy. Gdyby ktoś nadchodził, miał dać cynk światłami. Ale wszystko poszło bez przeszkód... Wiejski sklep, odsunięty od drogi i na dodatek schowany za dwiema wielkimi lipami. I tylko trzy latarnie na całej ulicy...

– Czekaj, woda się gotuje – przerwał Toni. Podniósł się i odłączył przewody od rozetki. Do kubków wsypał dwie paczki herbaty i zalał ją wrzątkiem. Od jednego z więźniów wziął cztery łyżeczki cukru, podał kubki Dnr- ce i wdrapał się na koję.
– No, nawijaj.

– Ulica była słabo oświetlona. Sklepowa mieszkała na drugim końcu wsi. Wszystko mieliśmy rozplanowane. Kto z kim, gdzie i kiedy śpi – wszystko to wiedzieliśmy. Robota była

bezbłędna!

— To widać — zauważył roztropnie Toni.

— Nie mundruj się. Przypadek... No i załadowaliśmy trzy wory do gabloty, przedtem założyliśmy taką samą kłódkę, którą się zamknęło, i z powrotem. Znalazło się miejsce na towar i każdy poszedł do chaty. Na drugi dzień — kontynuował — wiedzieliśmy już, że był włam. Chyba w akwarium ktoś o tym nawinął... Poczekaliśmy miesiąc... Kiedy dobraliśmy się do towaru, zauważyłem, że Szymkowi coś nie gra. Wieczorem, przedtem ożenił się parę tranzystorów i trochę czekolad, przykiraliśmy co nieco i Szymek powiedział mi, że jak na jego gust, to w workach trochę brakuje.

— To Szymek nawinął — upewnił się Toni.

— Szymek. W jego worku miało być więcej szlugów, ma się rozumieć brał te lepsze, i więcej kompletów kluczy. Wiesz, takich do samochodów czy motocykli, a właściwie do wszystkiego.

— No, ale skąd mógł wiedzieć, że w innych workach brakuje?

— Jak brakowało w jego worku, to dlaczego nie miało brakować w innych.

— Niech ci będzie. Tylko czemu miałby to zrobić Roman?

— Adam też był przekonany, że to Roman. Nikt nie mówił o tym głośno. Szymek przy Romanie nie powiedział ani słowa, że coś nie tak... A gdyby zrobił to ktoś z nas, to rąbnąłby wszystko, nie?

— Wiadomo.

— My trzymaliśmy się zawsze razem, a Romana nie było przez dwa dni w Toruniu. Miał podobno wyjechać do Gdańska, oblatwić jakiś interes. Ale czy wyjechał akurat do Gdańska i co to był za interes — nikt nie wiedział.

— Ha, jeżeli coś skitrał, to teraz będzie miał trochę hajcu... A dużo tego towaru wsiątko?

— Kilka tauzenów zarobi. Na pewno, bankowo.

— To teraz czekaj na raketę. Hajc wziął albo weźmie i będzie ci mógł przysłać.

— Widzisz tu coś? — Durko podniósł palcem powiekę.

Przez jakiś czas milczeli.

— Ty, ciekawe jak się człowiek czuje po wyjściu? Jak wygląda taki pierwszy dzień? Dzień bez apelu, kostki, oddziałowego. Dzień tylko dla ciebie. Tylko twój! Jak też może wyglądać taki dzień? — zastanawiał się Toni, popijając herbatę.

— Nie siorbaj — burknął Durko. — I kopsnij szluga, bo już mi wyszły.

— Poczekaj, może wróca — odparł nie zrażony Toni i podał papierosa. — Ten chrapie, aż się kojo trzęsie — powiedział o leżącym niżej więźniu i pochylił się, aby uciszyć chrapiącego.

Słyszeli teraz tylko głośne posapywania. Nie zdążyli jeszcze wypalić papierosów, kiedy leżący pod nimi więzień uraczył ich ponownie natrętnym chrapaniem.

— Daj mu spokój — powiedział Durko, widząc, iż Toni znowu zamierza uciszyć chłopaka.

— Bo chrapie jak borsuk. Zrobię mu rowerek, to odechce się gościowi wszystkiego.

— Zrób lepiej wtórniaka.

— Można — i Toni zeskoczył po termos. — Mówię ci, jakie many były w telewizji — przypomniał sobie program

— Nie interesuje mnie to — uciął Durko.

— Mówisz, że ci staje, jak się schylasz po kaptcie.

— Ty masz te same kłopoty co Albin — odparł Durko. — Nie słyszałeś, co mówił wychowawca?

— Spokojna bańka. Za gwałt na pewno się nie powalę. Tylko jak patrzę na te baby... za murem albo w telewizji...

— Skołuż od kucharzy trochę bromu — poradził Durko.

— Sam se skołuż!

— Yyyyy — przeciągnął się Durko.

— Ty, jak wyklepiesz, będzie jesień, nie. A Roman pewno wygrzewa się na plaży. Zresztą teraz chyba sam nie śpi, co? Jak myślisz? Blondyna czy ruda?

— Ani mnie to ziębi, ani grzeje.

— Wiadomo. Ale jak myślisz? Rude są namiętne jak cholera, trochę o tym wiem.

— Zrób ten czaj.

— Git — Toni sięgnął po grzałkę. — A co zrobisz, jak klawisz się uprze i będziesz musiał przejść pod dwa-trzy?

— No właśnie — zafrasował się Durko. — Trzy miesiące, a tych trzymają się jakieś zbytki. „Przejdziecie na inną celę” — przedrzeźniał wczorajszą wypowiedź strażnika — powiada ci... Tak, jakbym z innej celi nie mógł już pomóc, gdyby ktoś chciał śmignąć przez to całe zawszone lipo.

— Trzy wojtki to i tam przetrzymasz. Cóż to jest dla rycerza, no nie?

— Możesz se zbytkować. Cała cela nie grypsuje, tylko ty jeden. Wiesz jak to jest.

— Zawsze możesz zaprosić jednego z drugim na win-kiel. Zresztą tam byś tylko komarował. Poza tym, gdyby za wiele fikali, można ich jeszcze wziąć trochę na huki.

— Ciekawe jak byś śpiewał, gdybyś to ty miał przejść? Łatwo pocieszać, trudniej wziąć bagaż na własne plecy. Ale ja już mam taki parszywy fart.

Księżyc zajrzał do celi. Więzień leżący przy oknie poruszył się przez sen i przysłonił głowę kocem.

— Widziałeś go, jaki wrażliwy — skomentował Toni. — Dobrze, że nie jest lunatykiem, boby zaczął śmigać po ścianach, i jeszcze by mógł wleźć w rozetkę albo, co gorsza, w herbatę.

— Za ścianą — zakpił Durko.

— Co? — Toni nie zorientował się w pierwszej chwili, o co chodzi.

— Nie po ścianie, a za ścianą — powtórzył Durko dobitnie.

— No jo. Podobno kiedyś tak się nawijało.

— Nie spałeś na koi, tylko komarowałeś za koją.

— Albo: „człowiek, daj pozór, zwierz śmiga za tapetą”.

— Tego nie znam.

— Uważaj, mucha chodzi po ścianie.

— Niech sobie chodzi — odparł flegmatycznie Durko. I Toni roześmiał się na głos.

— Tłumaczyłem, co znaczy: „człowiek, daj pozór, zwierz śmiga za tapetą” — śmiał się Toni. — Uuuu, aleś mnie rozbawił.

— Ty, jakżeś taki oblatany, to nawiń mi, dlaczego mówi się „kurwa mać”?

— Bo jak jesteś w kićmanie, to twoją matką jest naczelnik itd. Rozumiesz?

— Też jakiś mundry to wymyślił... I skąd, i po jaką cholere wzięła się ta cała grypsera?

— Początków trzeba pewno szukać w kminie.

— A właściwie dlaczego grypsujesz?

— A ty?

— Cholera wie. Jak się tak zastanowić, przyjrzeć dokładniej, to nie widać różnicy między grypsującymi a nie grypsującymi. Jedni i drudzy nawijają tym samym językiem. Grypser nie weźmie klucza do ręki, ale tamci też nie biorą, z wyjątkami. A sprzedać kogoś potrafi jeden i drugi. Cholerne podziały i wojny. Lepsi, gorsi. Niech to wszystko szlag trafi!

Posłyszeli kroki na korytarzu. Błysnęło światło — natchmiast zamilkli. Światło zgasło po chwili i kroki na korytarzu zaczęły się oddalać.

— Co noc muszą palić to pioruńskie światło.

— Boją się, żebyś nie zwiął... Roman ma to już za sobą. Światło nie razi go w nocy. Ciekawe co on teraz przyprawia? Z pewnością nie czaj a gołdę, gołdziunię, gołdziuńkę, gołdziunieczkę. Bielutką jak, jak nie wiem co.

— Zazdrość to brzydkie uczucie — powiedział mentorskim tonem Durko.

— Nie zazdroścę. Odgarował swoje. Przyjdzie czas i na nas. Nam też jeszcze zaświeci słońeczko, no nie?

— Wreszcie wszyscy będziemy mieli to za sobą. I cały pic w tym, żeby historia się nie powtórzyła. Ty, nieraz mi się śni, że powaliłem się znowu. Mózg mi wtedy staje. Można dostać zajoba; jeszcze nie wyszedłeś, a znów cię holują...

— Nieraz zaważa zwykły przypadek. Wszystko masz wyliczone, a tu naraz diabełek macza swoje paluszki i po ptokach... Zresztą, ty wiesz coś o tym, nie.

— Nie dowcipkuj.

— Śpimy?

— Trzeba będzie. Kopsnij jeszcze szluga.

— Ostatnie.

— Jutro wypiska.

Rozdział III

Brama z głuchym łoskotem zatrzasnęła się za plecami mężczyzny. Po trzech latach stanął na chodniku biegnącym wzdłuż muru. Wysoki, masywny, szary mur, z którego gdzieś wystrzelają w górę małe wieżyczki o płaskich dachach. Wieżyczki są kwadratowe, a w każdej ścianie jest okno. Duże okno.

Więźniowie mówią o „kogutkach”, a strażników pełniących dyżury zwa „kogutkowymi”.

Jeden z „kogutkowych” otworzył właśnie okno i spojrzał na stojącego przed bramą już byłego więźnia. Ten nie ruszał się oślepiony blaskiem popołudniowego słońca. Przejeżdżający samochód przysłania na moment promienie słoneczne, i były więzień dostrzega przechodniów patrzących na niego z pewnym zaciekawieniem. Samochód odjechał, a więzień stanął na krawężniku, spojrzał w lewo, potem w prawo i niepewnie przemierzył jezdnię.

— Przesuń się pan — dociera doń czyjś głos, ale były więzień stoi. Z chwilą kiedy tylko zdał sobie sprawę ze słów nieznanego, od razu zbudził się w nim sprzeciw.

Czy miał rację, czy nie, zawsze stawiał na swoim, dlatego dopiero dziś opuścił mury więzienia. Z tych samych powodów po drugiej stronie murów został jego współnik. Miał jeszcze dwóch współników, ale ci za dobre sprawowanie zostali zwolnieni przedterminowo.

Pełen dumy i buty stoi z ironicznym uśmiechem, i nieznamy go omija. Były więzień dopiero teraz rusza dalej. Idzie do pobliskiego sklepu spożywczego, gdzie kupuje wino. Mija sklep i staje za drzewem rosnącym opodal. W oknach więzienia twarze, których rozróżnienie utrudniają małe, pomalowane minia kratki. Rozlegają się krzyki: „Trzymaj się, Roman”.

„Pamiętaj o grypsie”.

„Pozdrów Adama i Szymka”.

„Przypomnij ludziom o Czesi”.

„Przyklep na patrzonko”.

Były więzień wybija korek. Wychodzi zza drzewa. Przykłada

butelkę do ust — wypija połowę wina. Odejmuje flaszkę od ust i trzymając ją w wysoko uniesionej ręce, wylewa resztę na ziemię. Odstawia pustą butelkę. Składa dłonie jak do oklasków i podnosi je nad głowę. Te same gesty widzi za kratami. I znowu krzyki:

„Trzymaj się”.

„Spadaj już, bo klawisze”.

„Siemasz”.

Jeszcze raz błądzi wzrokiem po czerwonym murze i zakratowanych oknach, wreszcie odwraca się, odchodzi. Nie bardzo wie, dokąd, ale odchodzi. Jeszcze nie może uwierzyć, że to już wolność. Jeszcze nie może sobie tego uświadomić. Trzeba szybciej, szybciej, bo się rozmyślą i zawołają mnie z powrotem. Więc szybciej! Boi się obejrzeć i przyspiesza kroku. Chce niemal biec, ale to mogłoby zwrócić uwagę, i zwalnia. Chciałby, aby na chodnikach nie było ludzi, a na jezdniach pojazdów, chciałby być sam. Nagle przychodzi mu na myśl, że jednak dobrze, iż tyle tych przechodniów — łatwiej będzie się schować. Chyba na głowę upadłeś, konstatuje.

Wolnym, rozchybotanym krokiem zbliża się do centrum.

Różnokolorowe grupy spalonych słońcem ludzi stają przy saturatorach, oglądają sklepowe wystawy, wchodzi do wnętrza, robią plany na dzisiejszy wieczór. Na jezdniach, zmoczonych rano przez polewaczki, ani śladu wilgoci. Parne, ciężkie powietrze.

Ludzie ledwo dostrzegają średniego wzrostu mężczyznę o krótkich ciemnych włosach i bladej twarzy.

Były więzień zatrzymuje się przy budce z piwem. Za zielonym parkanem w cieniu starych drzew rozstawiono kilka stolików. Mężczyzna zamawia piwo. Jego oczy nie są już skupione. Cały odpręża się i siada na obdrapanym metalowym stołku. Widzi teraz dokładnie przewalające się chodnikami grupy lekko ubranych i mocno wymęczonych turystów. Niekiedy któryś odrywa się od towarzyszy i zatrzymuje się przy kiosku.

Były więzień nie zastanawia się, co zrobić z pozostałą częścią dnia. Obojętnie patrzy na przechodniów. Czasem jego wzrok biegnie za jedną z wielu dziewcząt. Sceptycznie spogląda na

piwoszków. Odwaliłem trójkę, myśli, co te neptki o tym wiedzą, cóż oni wiedzą o życiu. Cóż wiedzą,

Odstawia pusty kufel i wkracza na chodnik. Jestem od nich lepszy, silniejszy; niechby który spróbował, monologuje. Napręża się, pochyla do przodu, ramiona trzyma szerzej: szuka zwady. Nic z tego. Ludzie jakby wiedząc, o co chodzi, omijają byłego więźnia. A ten, wyniosłe uśmiechnięty, idzie wolnym krokiem. Wino z piwem zrobiły swoje. Osiąga skwer leżący przy jednej z bocznych uliczek. Nareszcie jest sam. Sam, nie licząc staruszki wygrzewającej się w słońcu kilkanaście metrów dalej.

Więc to już jest wolność, myśli były więzień, to wolność. Nikt nie ma prawa przyczepić się do mnie. Wszyscy razem i każdy z osobna mogą mi skoczyć gdzieś... Czy nikt tego nie znalazł, zastanawia się zdjęty nagłym niepokojem. I zaraz przychodzi refleksja: przecież nie wiedzą, gdzie to jest.

Staruszka przechodzi obok ławki, mówi:

– Dzień dobry.

Były więzień patrzy na nią zdziwiony: „nie, nie znam jej”, i odpowiada:

– Najlepszy.

Z kolei staruszka dłużej zatrzymuje na mężczyźnie wyblakłe oczy, uśmiecha się, drepcze dalej.

Mężczyzna podnosi się i ociężałym krokiem rusza w kierunku dworca.

Kupuje bilet. Potem zajmuje jedno z niewielu wolnych krzeseł w przestronnej sali dworcowego baru, gdzie tłoczą się głodni i spragnieni ludzie.

Tłum podróżnych peszy byłego więźnia, peszy do tego stopnia, że kiedy podnosi do ust widelec z bigosem, kapusta spada na podłogę. Widzące to, dwie dziewczyny podśmiewają się pod nosem i były więzień nie wie, jak ma zareagować. Wreszcie odsuwa talerz i dyskretnie wymyka się na peron.

Ludzi tu niewielu. Mężczyzna czuje się pewniej. Wkrótce podstawiają pociąg. Mężczyzna staje na korytarzu, opiera się o ścianę przedziału, sięga po papierosy.

Coraz to więcej pasażerów przewala się korytarzem w poszukiwaniu wolnych miejsc w przedziałach, więc mężczyzna

przechodzi w inną część wagonu, gdzie tłok jest mniejszy. Wreszcie pociąg rusza. Nikną światła dworca.

Były więzień ciągle stoi na korytarzu. Jazda w przedziale pośród nieznanych podróżnych wcale mu się nie uśmiecha. Woli być tutaj, gdzie nic nie krępuje jego zachowania. Po drugiej stronie korytarza widzi dziewczynę stojącą samotnie przy oknie i wyrzuca sobie, że mało wypił.

Gdybym miał z dwa piwa więcej, myśli, podszedłbym do niej... A może jednak? Nie, daj spokój... Co jej powiesz? Wyszedłeś z wprawy. No, zresztą, nie musisz się oszukiwać, w czym jak w czym, ale w tych sprawach nigdy nie byłeś mistrzem. Poza tym diabli wiedzą, jak to się teraz robi. W Toruniu sobie odbijesz za wszystkie czasy. Tylko poczekaj. Poczekaj...

Pociąg minął Jabłonowo, Wąbrzeźno i właśnie wjeżdża na stację w Kowalewie Pomorskim. W przedziale, przy którym stoi, zostały dwie osoby: leciwa dama ze znacznie od niej młodszym partnerem, zbyt czułym jak na męża.

Im bliżej Torunia, tym więcej dymu, tym mniej papierosów w paczce. Czy ktoś ze znajomych wie, że będę dziś wieczorem, czy ktoś za mną czeka — zastanawia się.

Kiedy miał trzy lata, stracił ojca, w wypadku samochodowym. Matka umarła rok później i chłopak wychowywał się w Domu Dziecka. Potem mieszkał w hotelach robotniczych, w wynajętych pokojach, a ostatnie trzy lata spędził w zakładzie karnym.

Postanowił, że po przyjeździe pójdzie do jednego z kolegów, a później, za jakieś kilka dni, załatwi sobie pokój.

Pociąg minął małą stacyjkę.

Gdzie by tu wysiąść? Na Głównym czy na dworcu Miasto, medytuje. Nowy papieros. Pociąg wjeżdża na dworzec Wschodni, wchodzi kilka osób, by przejechać na dworzec Główny. Były więzień stwierdza, że wszystko jest jak przed trzema laty: brudne perony i kilka niewyraźnych sylwetek za zaparowanymi szybami dworcowego baru, w którym spędził

niejedną noc przy kuflu ciemnego piwa, a kiedy był fart, przy paru jasnych browarkach, rzadziej — przy butelce wódki rozlewanej pod stołem, gdy bufetowa znikwała w kuchni.

Tuż przed dworcem Miasto zdecydował się jechać na Główny.

Koła dudnią na moście. Na rzece refleksy świetlne. Wisłostradą wędrują zagubione pary. Bywało się tu z niejedną dupą. Wyżej biegnie jezdnia i mury obronne Starego Miasta. A tamte światła to „Zamkowa”. Były więzień jest wyraźnie podekscytowany. Staje przy drzwiach wagonu. Rzeka została w tyle.

Pociąg staje na trzecim peronie.

Na dworcu tłumy podróżnych; przeważnie młodzież z różnymi torbami i plecakami. Niektórzy mają namioty. Dużo bluz w kolorze khaki. Skąd oni pobrali takie ciuchy? Nie mniej tyrolskich kapeluszy z fantazyjnie zatkniętymi piórkami. Głośne rozmowy, nawoływania, którym towarzyszą napady śmiechu. Były więzień kroczy przygaszony pośród ciżby ludzi. Część podróżnych ustawia się w kolejce na postoju taksówek. Inni schodzą do krótkiego tunelu, by wyjść na przystanek tramwajowy. Żadnych fanfar i powitań. Na byłego więźnia nikt nie czeka. Jest trochę rozgoryczony tym faktem. Zapomnieli już o mnie? Przez chwilę waha się: jechać czy zrezygnować. Rezygnuje z jazdy.

Dopiero teraz dostrzega świetlny zegar na dachu budynku dworcowego. Przedtem, gdy zabierano go z miasta, zegara jeszcze nie było. Teraz wskazuje godzinę dwudziestą drugą pięć.

Były więzień idzie ulicą Kujawską w stronę mostu drogowego. Mija kąpielowy basen. Jego mijają tramwaj jadący w przeciwnym kierunku po ludzi czekających przed dworcem.

Mężczyzna jest już na moście. W dole gęste zarośla i trochę drzew. Daleko przed mężczyzną, po lewej stronie mostu, duży neon hotelu „Kosmos”. I już Wisła. Były więzień opiera się o żelazną balustradę. Na szarych wodach załamują się wiązki światła. Przy lewym brzegu duże ławice piachu. Przez most kolejowy przejeżdża wolno towarowy pociąg. Wystrzelony z

palców niedopałek zatacza duży łuk i niknie bezpowrotnie w ciemnościach.

Idzie dalej.

Coraz więcej światła, coraz jaśniej. Jest już na placu Rapackiego. Skręca w prawo. Po stronie lewej duży trawnik z fontanną, dalej budynek Wydziału Prawa UMK, tzw. harmonijka, za którą mieści się areszt śledczy, gdzie spędził parę miesięcy. Iść pod więzienie nie ma sensu — na oknach blindy uniemożliwiający ewentualne porozumienie z aresztowanymi. Tylko o czym miałbym z nimi nawijać, myśli. Jutro zobaczymy to чудо. Po stronie prawej druga fontanna i zaraz winiarnia „U Kaduka” — tu, przy tanim winie, powstały plany napadów. Przechodzi teraz pod Łukiem Cezara i dalej pod arkadami. Stare Miasto. Ratuszowy zegar pokazuje dwudziestą drugą czterdzieści cztery. Z Dworu Artusa dobiegają rytmy dyskoteki. Nigdy nie przepadał za tańcami. Przed nim ulica Szeroka — deptak, na którym w godzinach szczytu można spotkać znajomych i niezajomych — wszystkich, których się chce i nie chce spotkać. Jutro tu wpadniemy, myśli, i skręca w ulicę Dzierżyńskiego. Wszędzie jacyś nie znani mu ludzie; żadnego znajomego. Czyżby sporządnieli, myśli kpiąc. I w następnej chwili: diabła tam, chleją gdzieś z dziewczkami; może u Szymka, albo u Szeryfa. Ale to jutro, jutro. Teraz spać.

Dziwne, ale poczuł się śpiący. Idziemy spać, powtarza w myślach zdecydowanie.

Mija teatr Wilama Horzycy, potem korty tenisowe „Wisły”. Przed targowiskiem miejskim na ławce siedzą dwie dziewczyny i były więzień spostrzega, iż jedna z dziewczyn przygląda mu się uważnie. Przechodzi jednak mimo, zastanawiając się, skąd zna tę dziewczynę. Nie potrafi mimo usiłowań skojarzyć twarzy z imieniem ani miejscem poznania czy widzenia owej dziewczyny; widzenia kiedyś tam, gdzieś, więc daje sobie z tym spokój.

Z „Chełminianki” wytacza się trzech pijaków. Były więzień przecina ulicę Gen. Bema i idzie dalej Nowickiego, z rzadka tylko spotykając ludzi. Przy skrzyżowaniu z Grunwaldzką jakiś

stary pijany człowiek zastępuje mu drogę i pyta, gdzie jest. Były więzień śmiejąc się podaje pijanemu nazwę ulicy, lecz ten nie ustępuje.

— Panie, panie — bełkocze — a co to za miasto?

— Toruń — mówi były więzień, oddalając się.

— Toruń? No, no, no... — mamrocze do siebie stary.

Wreszcie były więzień dociera do Żwirki i Wigury i skręca w lewo. Mija szpital i wchodzi na osiedle jednorodzinnych domków. Od ulicy Osiedlowej biegnie kilkanaście piaszczystych alei obrzeżonych sadami. Przy jednej z ostatnich, pod lasem, mieszka znajomy byłego więźnia.

Jest właśnie na wysokości lasu. Potyka się o wystającą płytę chodnika. Cholera, mogliby tu wreszcie założyć światło — to była ostatnia myśl byłego więźnia.

Rozdział IV

Skoro świt ekipa porucznika Zgieta z komendy miasta w Toruniu była na miejscu znalezienia ciała, na które natknął się jeden z mieszkańców osiedla, idąc do pracy.

Na koszuli denata widniały dwie wielkie plamy zakrzepłej krwi. Jedna w okolicy lewej łopatki, druga z lewej strony karku. W tylnej kieszeni spodni tkwił portfel, w którym porucznik znalazł dowód osobisty na nazwisko Roman Spaśkowski i świadectwo zwolnienia z zakładu karnego w Ławie wystawione na to samo nazwisko. Z adnotacji na świadectwie zwolnienia wynikało, że Spaśkowski w dniu opuszczenia zakładu otrzymał osiemset czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy; żadnych pieniędzy nie było.

Zrobiono gipsowe odlewy śladów widniejących na miękkim poszyciu leśnym, skrzętnie zebrano skrzepy krwi. I były to właściwie jedyne ślady.

— Poruczniku — dobiegł Zgieta głos technika.

— No?

— Proszę tu spojrzeć — wskazał oblepiony żywicą pień świerka; na wysokości półtora metra na drzewie widniała

czarna nitka.

— To może być tego, który załatwił faceta.

— Niekoniecznie...

Porucznik kończył właśnie naradę ze swymi współpracownikami.

— ... reasumując: mogło to być morderstwo na tle rabunkowym — nie znaleziono żadnych pieniędzy, a niemożliwe, by denat zdążył wszystko wydać — bądź też dintojra, gdyż denat, jak wiemy, siedział za włamania do sklepów i miał... trzech współników: Stanisław Durko (przebywa jeszcze w Iławie), Wiesław Szymański pseudonim Szymek i Adam Norman (mieszkańcy Torunia). Ci dwaj ostatni opuścili zakład przed pięcioma miesiącami. Trzeba ich sprawdzić.

Porucznikowi przyniesiono wyniki sekcji zwłok.

— Otóż, panowie, lekarz stwierdza, iż rany, wskutek których Spaśkowski poniósł śmierć, zostały zadane wąskim i długim narzędziem, nóż, kordzik oficerski... między godziną 23.00 a 2.00.

Następnego dnia rano plutonowy Romańczuk wsiadł w pociąg na dworcu Miasto. Znalazł w jednym z przedziałów wolne miejsce i od razu pogrążył się w lekturze wczorajszego „Przeglądu Sportowego”.

W tym samym czasie sierżant Ryszard Obarski stukał do drzwi sutereny przy ulicy Mickiewicza. Odpowiedziało mu głucho milczenie. Ponowił więc pukanie, wkładając w nie więcej energii.

— Kto tam? — zawołał po chwili wyrwany ze snu głos.

— Otwierać. Milicja. — Ryszard Obarski miał tubalny głos.

Przez chwilę trwała absolutna cisza, potem rozległy się kroki i drzwi otworzyły się. W progu stał niewysoki, dwudziestoparoletni mężczyzna o długich włosach, ubrany w

spodenki kąpielowe. Tors pokrywały tatuaże. Otworzył drzwi szerzej i zaprosił sierżanta do środka. Znali się.

— Czym mogę panu służyć? — powitał gościa niezwykle uprzejmie i sierżant wyczuł w jego głosie cień ironii. Szymek zamknął drzwi. Przeszli do kuchni, gdzie wytarł ścierką taboret i wskazał sierżantowi miejsce.

— Proszę bardzo — zaprosił Obarskiego z gracją. — Co obywatela sierżanta przygnało w moje niskie progi?

— Dosyć tej komedii. Powiedźcie mi, co robiliście w nocy z wtorku na środę.

— Może sprecyzujemy: z którego wtorku, na którą środę?

Obarski spojrzał na chłopaka uważnie i wycedził:

— W nocy z piątego na szóstego lipca.

— Akurat tak się składa, obywatelu sierżancie, że owej nocy byłem na dancingu w „Piekiełku” w „Heliosie”, obywatelu sierżancie, z kumplami zresztą, którzy to potwierdzą, obywatelu sierżancie — zakończył z pobłażliwym uśmiechem.

— Co to za kumple? — Sierżant wyjął notes.

— Antoni Smoczyński i Stefan Celman.

— Adresy...

Celman mieszka na Trepowskiej 93, a gdzie Smoczyński — nie wiem. Stefan może zna jego adres, ale nie jestem pewien. W każdym razie to bardziej jego kumpel niż mój — wyjaśnił uprzejmie Szymek.

— Od której do której byliście na dancingu?

— Od ósmej, to jest od dwudziestej, do czwartej z minutami rano. Dokładnie nie pamiętam.

— Lepiej żebyście sobie przypomnieli — poradził łagodnie sierżant. — No?

— Kiedy naprawdę nie pamiętam. — Szymek spoważniał. — Z pewnością było po czwartej i chyba przed pół do piątej — dodał po krótkim namyśle.

Sierżant notował.

— Dobra. Co dalej?

— Postaliśmy przed lokalem parę minut...

— Ile? — przerwał sierżant.

— No... nie więcej niż dziesięć, potem Antek ze Stefanem

poszli. Mówili, że do domu. Ja przyszedłem do siebie i od razu położyłem się spać.

— I cały czas byliście sami? W trójkę? Może tańczyliście z sobą, co? — rzekł z przekąsem sierżant.

— Były jakieś many z Krakowa, turystki, ale nie zapraszaliśmy ich do stolika. Zresztą były z facetami; chyba gdzieś koło trzeciej wyszli. Mieszkali w „Heliosie” — pośpieszył z wyjaśnieniem Szymek.

Sierżant kończył notować.

— Ale co się stało?

— Jeszcze jedno — uciął Obarski. — Gdzie pracujecie?

— U prywaciarza — odparł bez zająknięcia Szymek.

— Gdzie?

— Na Wybickiego, w warsztacie kamieniarskim.

— Chcecie powiedzieć, że instalujecie światło na nagrobkach?

— Sierżant wiedział, że Szymański jest elektrykiem i że zawodu wyuczył się w Hławie. Miał też informacje, że Szymański nigdzie nie pracuje. Przesłuchiwany zmieszał się, ale już w następnej chwili odzyskał kontenans i odparł hardo:

— Nie muszę całe życie pracować jako elektryk.

— Wam się wydaje, że w ogóle nie musicie pracować, Szymański, co? W przyszłym tygodniu przyniesiecie zaświadczenie z pracy. — Sierżant wstał i Szymański odprowadził go do drzwi. — Tylko nie zapomnijcie — rzucił na pożegnanie sierżant Obarski.

W sali widzeń plutonowy Romańczuk oczekiwał na Stanisława Durkę. Zdążył już przejrzeć akta Spaśkowskiego z mnóstwem raportów — przeważnie za odmowę wykonania poleceń, bójki, nielegalne posiadanie grzałek i picie herbaty — a Durki wciąż nie było. Upłynęło jeszcze kilka minut, nim w końcu drzwi otwarły się i stanął w nich strażnik.

— Musicie jeszcze trochę poczekać. Durko jest u lekarza. Pochlastał się, to znaczy podciął sobie żyły.

— Fiuuu — gwizdnął plutonowy. — A to czemu?

— Nie chciał przejść na inną celę.

Romańczuk wdał się w rozmowę ze strażnikiem.

Po kwadransie jakiś inny strażnik wprowadził bladego więźnia, po czym obaj z kolegą wyszli.

— Siadajcie — rzekł plutonowy.. — Zapalicie? — poczęstował Durkę, ten przyjął papierosa, wyjął zapałki i podał ogień plutonowemu. — Słuchajcie, Durko, co wiecie o Spaśkowskim? — przeszedł do rzeczy plutonowy.

— Spaśkowski? — odpowiedział zdumiony. — Wyszedł przed trzema dniami.

— To wiem — rzekł plutonowy. — Chodzi o to, abyście mi powiedzieli, jakie miał plany, czy się czegoś obawiał, czy miał wrogów? Przecież znaliście się dobrze, często rozmawialiście.

Przesłuchiwany patrzył w skupieniu na przesłuchującego.

— Hm, jakie miał plany? Diabli go wiedzą. To skryty facet. Nie przepadaliśmy za nim specjalnie.

— Kto „my” — przerwał Romańczuk.

— Szymek, Norman, no i ja. Zresztą wydaje mi się, że inni też nie lubili go specjalnie.

— Dlaczego?

— Norman przypuszczał, że Roman wykiwał nas chowając część towaru. Szymek też coś o tym przebąkiwał.

— A wy?

— Nigdy nie darzyłem go specjalną sympatią. Nie podobał mi się jego ton i maniery wodza Indian...

— Co macie na myśli mówiąc: „maniery wodza Indian”?

— To, że nie znosił sprzeciwu; nie było odwołania od tego, co powiedział. Zostawały tylko dwie możliwości: wykonać, albo odejść.

— Więc czemu nie odeszliście?

— Roman był, jakby to powiedzieć, bardzo operatywny. Poza tym szła fama, że ma fart — zakończył cynicznie.

— No tak. Co jeszcze możecie powiedzieć?

— Nie rozmawialiśmy za często. Roman był na pierwszym oddziale, razem z Adamem, to znaczy Normanem; ja jestem na drugim. Trochę sobie pomagaliśmy. Na przykład, kiedy był kryzys, dzieliliśmy się szlugami; czasem piliśmy wspólnie czaj, no i to były właściwie jedyne okazje do rozmów... A co do

wrogów — każdy ich ma. Szczególnie tutaj. Ale sprawy załatwia się na winklu.

— Nie rozumiem.

— To znaczy jest mały boks. Jeden albo drugi wygrywa i cześć, po imprezie... Ale co się stało? Czyżby Roman znowu...

— Na razie nic szczególnego, ale może się stać — odparł po dłuższym wahaniu plutonowy. — Co jeszcze?

— No więc nie wydaje mi się, by Roman miał jakichś szczególnych wrogów. A co do obaw — to był odważny facet. On i obawy — dwie sprzeczności — zapewnił przesłuchiwany.

— A powiedzcie mi, z kim Spaśkowski przebywał, kiedy był na wolności, jeszcze przed więzieniem.

— Poza nami trudno mi kogoś wymienić. Wie pan, jakieś przypadkowe towarzystwo, jacyś spotkani raz czy dwa ludzie, o których niewiele się wiedziało... Trudno coś mówić o Romanie, o jego znajomych... Na pewno jakichś miał, z tym że ja ich nie znałem — rozłożył ręce w bezradnym geście. — Nie znałem.

Po chwili podjął.

— Nieraz znikał na całe dni. Co wtedy robił, z kim się spotykał — nikt nie wiedział. Nie wiedzieliśmy nigdy z czym wyskoczy. A wydobyć z niego cokolwiek, to były marzenia ściętej głowy, jak to się mówi. Można było pytać na okrągło, ale jak nie chciał sam powiedzieć, to tylko człowiek tracił czas. No, jednym słowem, facet nie do życia.

— A jego dziewczyna? Chyba miał jakąś?

— Jemu dziewczyny były potrzebne tylko do tych rzeczy, wie pan. No — kiwnął ręką — gdyby wierzyć w to co mówił, to miał ich na pęczki.

— A co, nie dawaliście temu wiary? Dlaczego?

— Każdy chłopak będzie panu mówił, ile to on miał dziewczyn, a jedna lepsza od drugiej, i dziewięciu na dziesięć doda, że nie mogło się ich pozbyć — zmrużył oko.

— Dziękuję wam, Durko, możecie wracać do celi. Kiedy wychodzicie?

— Za trzy wojtki.

Na niewiele zdała się ta wizyta, pomyślał plutonowy Romańczuk, chowając notes.

Rozdział V

Na ulicach i chodnikach panował wzmożony ruch. Gospodynie wracały z rynku, dźwigając siatki wypełnione owocami i warzywami. Niektóre niosły drób.

Sierżant, ubrany po cywilnemu, przeszedł koło akademików, w których lada dzień miały zacząć działalność Międzynarodowe Hotele Studenckie i skręcił w rzadki, stary park. Na ławkach grzali się w słońcu emeryci. Babcie zajęte były kołysaniem wózków, dziadkowie czytali gazety, bądź wspominali dawne czasy, co i rusz przerywając rozmowy, by przywołać niesforne wnuka.

Przed Obarskim szła młoda, identycznie ubrana para. Chłopak objął dziewczynę ramieniem, w lewym ręku trzymał plażową torbę, z której wystawał kolorowy ręcznik. Dziewczyna nachyliła się właśnie do swego towarzysza, musnęła ustami jego policzek i coś szepnęła, a chłopak odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno i dźwięcznie. Dziewczyna patrzyła nań z uśmiechem.

Ciekawe, co robi teraz Beata? — zastanawiał się sierżant.

Beatę poznał kilka miesięcy temu, zimą. Drugiego lipca pojechała na urlop do Mikołajek, gdzie mieszkała jej ciotka. Umówili się, że Ryszard przyjedzie po dziesiątym, gdyż od dziesiątego miał zaplanowany urlop, a musiał przed wyjazdem załatwić kilka spraw.

Przez to cholerne morderstwo już pojechałem, pomyślał zły jak wszyscy diabli. Zły na tę parę idącą przed nim, na słoneczny dzień, na spłot okoliczności.

Chłopak z dziewczyną skręcili do kiosku.

Sierżant wskoczył do jedyнки, która ruszała akurat z przystanku tramwajowego. Wysiadł przy rzeźni, na ulicy Lubickiej i skręcił w Targową.

Zaraz za „Metronem” znowu skręcił, tym razem w piaszczystą drogę, którą doszedł do ulicy Trepowskiej. W klatce na parterze odnalazł w spisie lokatorów numer mieszkania

Celmanów. Po drewnianych schodach wszedł na piętro. Zatrzymał się przed drzwiami, zza których dochodził płacz dziecka; zastukał.

— Proszę — doleciał go damski głos.

— Dzień dobry. Sierżant Obarski z komendy miasta — pokazał legitymację, na którą młoda kobieta nawet nie spojrzała.

— Proszę, niech pan siądzie — podsunęła krzesło.

Sierżant siadł przy stole, na którym wały się smoczki, szklanki po herbacie i stare gazety. Na brzegu stała popielniczka z tłącym się papierosem, dalej wazon pełen świeżych kwiatów. Naprzeciwko miał toaletkę o wysokim, pękniętym lustrze, które dokładnie odbijało jego postać.

Kobieta usiadła na wersalce, lecz zaraz wstała, podeszła do stołu i wzięła palący się papieros i popielniczkę.

— Pani jest żoną Celmana? — zagadnął sierżant.

— Jestem. O co chodzi?

— Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

— Nie ma go w domu. Poszedł do pracy.

— Gdzie? Gdzie pracuje?

— W „Merinotexie”.

— Czy mężowi zdarzyło się ostatnio nie przyjść na noc do domu?

Kobieta opuściła oczy i zaciągnęła się głęboko.

— Proszę powiedzieć prawdę — rzekł dobitnie sierżant, widząc jej wahanie. — Chodzi o ważną sprawę.

— Tak.

— Nie było go więc w domu. Kiedy?

— W tym tygodniu był na dancingu. Tak przynajmniej mówił.

— Kiedy to było?

— Zaraz, zaraz... to było... tak, z wtorku na środę. Tak. Wrócił rano. Gdzieś koło szóstej i...

— I co?

— Chciałam powiedzieć, że nie przyszedł sam.

— Z kim więc? Proszę mówić — zdenerwował się Obarski.

— Z jakimś facetem, kolegą. Nie znam go. Napili się herbaty i

przed siódmą wyszli.

— Jak wyglądał ten facet?

— Wyższy od Stefana, czarny, raczej tęgi. Ma dwadzieścia sześć lat. Bardzo grzeczny, przepraszał, że Stefan wrócił tak późno.

— Nie przedstawił się?

— Na imię mu Antek. Aha, pracuje w „Elanie”.

— Czy mąż pani często nie wraca na noc? — spytał sierżant po chwili.

— Raczej rzadko.

— To znaczy...

— W tym roku po raz pierwszy...

— Państwo długo jesteście małżeństwem?

— W sierpniu będą dwa lata.

Dziecko przerwało im rozmowę, zaczynając znowu płakać.

— Cicho, Sebastian, cicho — uspokajała matka. Położyła malca i zaczęła go kołysać. Chłopiec nadal płakał.

— A czemu ty płaczesz, co? — uśmiechnął się do małego Obarski. — Taki duży chłopiec, a tak płacze. — Ale brzdąc miał za nic słowa milicjanta. Matka wstała, wzięła ze stołu smoczek i poszła do kuchni, skąd zaraz wróciła i podała dziecku smoczek otoczony warstewką cukru, dziecko przestało płakać.

— Proszę powiedzieć mężowi, żeby zgłosił się do mnie po pracy. Będę w komendzie do siedemnastej. Pokój pięćdziesiąt sześć. Na Bydgoskiej.

Pożegnał się i wyszedł.

Wracał tą samą drogą.

Jak na razie wszystko się zgadza. Szymański mówił prawdę.

Trzeba jeszcze sprawdzić tego Smoczyńskiego, monologował sierżant.

W dziale kadr szybko znaleziono nazwisko i urzędniczka natychmiast połączyła się z wydziałem chemicznym. Okazało się jednak, że Smoczyński ma dzisiaj wolne i do pracy przyjdzie dopiero jutro na nocną zmianę.

Wracając do miasta, sierżant wstąpił po drodze do hotelu

robotniczego przy ulicy Wschodniej.

— Smoczyńskiego nie ma — poinformowała portierka.

— Od kiedy?

— Wyszedł koło ósmej.

Oczywiście nie wiedziała, gdzie może teraz przebywać. Obarski .zostawił więc wezwanie dla Smoczyńskiego, prosząc, by dostarczono je, kiedy tylko się zjawi.

Niemal pustym tramwajem dojechał do komendy.

Przesłuchanie Stefana Celmana, który zgłosił się parę minut po czwartej, nie wniosło niczego nowego. Celman potwierdził zeznania Wiesława Szymańskiego, a na pytanie, czy zna Spaśkowskiego, odpowiedział przecząco. Dodał, że nigdy o nim nie słyszał, a Szymek nie wspominał przy nim o kimś noszącym to nazwisko.

Od rana padał deszcz.

Sierżant Obarski założył przeciwdeszczowy płaszcz i opuścił przytulny pokój. Tramwaju jak na złość nie było i sierżant po raz któryś w ciągu ostatnich dni oddał się rozmyśleniom o swojej narzeczonej. Gdyby nie to morderstwo... Ciekawe czy i tam leje. Czy będzie jej smutno beze mnie. No, ale niech się przyzwyczajają...

Nadjechała trójka. Sierżant wszedł do drugiego wozu i stanął na tylnym pomoście. Razem z nim wsiadły dwie panie z dzieckiem. Panie zatrzymały się przy kasowniku, gdzie siedział osiemnastoletni młodzieniec.

— Tak, tak, kochana, to nie te czasy, kiedy mężczyźni byli dżentelmenami — powiedziała ostentacyjnie ta z dzieckiem. Chłopaka interesował padający deszcz.

— To tylko trzy przystanki, Reniu, szkoda słów — zauważyła cicho druga.

— A cóż to ma za znaczenie: trzy przystanki czy dziesięć — ucięła pierwsza.

— Daj spokój. Widzisz przecież, że to nie ma sensu. Skoro kogoś przez tyle lat nie nauczono kultury, z pewnością nie uczynisz tego ty w ciągu paru minut — tłumaczyła druga.

Chłopak zrezygnował.

— Proszę pani, ja wychowywałem się w Domu Dziecka, potem w Schroniskach dla Nieletnich i poprawczakach, tam nie nauczono mnie kultury — wyznał z uśmiechem.

— To widać, kawalerze, nie musisz się z tego tłumaczyć — zapewniła druga pani, ta bez dziecka.

— Więc skąd te aluzyjki — westchnął chłopak.

— Przede wszystkim, skoro już rozmawiasz z kobietą, i to starszą, to może byś wstał — pouczyła go dama.

— Wracamy do punktu wyjścia — zakończył chłopak i ze stoickim spokojem zaczął znowu gapić się przez okno na przechodniów, którzy gdzieś tam śpieszyli.

Sierżant wysiadł na ulicy Nowickiego, w pobliżu prywatnego zakładu, w którym pracował Adam Norman. Na rampie stał obdrapany wartburg. Wewnątrz warsztatu dwóch młodych ludzi szpachlowało mocno zniszczoną karoserię warszawy. Lakiernicy nawet nie zwrócili uwagi na wchodzącego, a sierżant skierował się do małego kantorka, gdzie urzędował właściciel Roman Mróz, długoletni członek ORMÓ.

Po wyjściu Normana z więzienia, Obarski zaproponował Mrozowi, aby ten zatrudnił u siebie chłopaka. Mróz przystał na tę propozycję i jak do tej pory sierżant nie słyszał, by lakiernik miał jakieś kłopoty z Normanem.

— Co, masz kogoś nowego na miejsce Normana? — zapytał Mróz, kiedy już się przywitani.

— Nie rozumiem — sierżant był wyraźnie zaskoczony.

— Jak to? — teraz Mróz wybałuszył oczy. — Czyżbyś nie wiedział? Adam od poniedziałku, to znaczy od czwartego, nie pracuje.

— Pierwszy raz o tym słyszę — przyznał sierżant.

— Myślałem, że wiesz. Norman w poniedziałek rano, po przyjeździe do warsztatu, oznajmił mi, że kończy pracę. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony.

— Chyba nie mniej niż ja teraz... Cholera! Nie mówił, co go skłoniło do takiej decyzji?

— Powiedział, że ma kłopoty z dziewczyną. Musi się z nią zobaczyć. Nic poza tym nie chciał powiedzieć. Cóż było robić, w

końcu to dorosły człowiek; wypłaciłem należną mu forszę i pożegnaliśmy się. Powiedziałem mu jeszcze, że zawsze może wrócić... Dobry był chłopak.

— Co to za dziewczyna? — zdziwienie nie opuszczało twarzy sierżanta.

— Pojęcia nie mam — lakiernik rozłożył ręce.

Sierżant milczał moment.

— A ci tam — wskazał na drzwi — może coś wiedzą?

— Zapytam, a może wolisz sam z nimi pogadać?

— Dobra. Dawaj ich tutaj.

Pomocnicy Mroza zapytani o Normana nic konkretnego nie potrafili powiedzieć.

Coś tam kiedyś wspominał o swej dziewczynie, ale były to zaledwie wzmianki. Żaden z nich nigdy nie widział tej dziewczyny. Poza tym Norman uchodził za skrytego i niewiele, a raczej nic nie wiedzieli o jego prywatnym życiu. Kilka razy próbowali coś od niego wyciągnąć, zapraszając go w tym celu na wódkę, ale Norman zawsze się wymigiwał, mówiąc, że nie pije.

— Co się stało? — zapytał Mróz po wyjściu lakierników.

— Słyszałeś już pewnie o tym morderstwie na „Działkach”.

— A tak...

— Otóż zamordowany był współnikiem Normana.

— O cholera! Myślisz, że Adam...

— Jeszcze nic nie wiemy, ale muszę przesłuchać Normana — sierżant był zafrasowany.

— Jasne. Rozumiem. Hm... Jak by ci tu pomóc? Wiesz, skocz najlepiej do niego do domu. Może tam coś wiedzą — poradził.

— Chyba będę musiał tak zrobić.

— No jasne.

— Tylko czy on tam jeszcze mieszka — w głosie sierżanta przebijała nuta zwątpienia.

Zamyślony opuścił warsztat.

Norman mieszkał przy ulicy Kołłątaja w wynajętym pokoju. Niestety gospodarz nie miał pojęcia, dokąd Norman wyjechał.

— W sobotę szedł z jakimiś paczkami, pewnie na pocztę. A w

poniedziałek, koło południa, powiedział mi, że zwalnia pokój, gdyż wyjeżdża z miasta. Nie pytałem dokąd — mówił sierżantowi — bo i cóż to mnie mogło obchodzić.

— Czy nie przychodziła do niego jakaś dziewczyna. Mcze znajomi? — pytał sierżant.

— Nie widziałem. I muszę powiedzieć, że trochę mnie to dziwiło, bo chłopak był w wieku, kiedy ma się, jeżeli nie dziewczyny, to przynajmniej dziewczynę — uśmiechnął się — a już na pewno jakichś kolegów. Tymczasem nigdy nie widziałem, aby go ktokolwiek odwiedzał. Nie, nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń; płacił regularnie, nie awanturował się. Nie, nic nie mogłem mu zarzucić — powiedział z przekonaniem gospodarz.

— No, dziękuję panu — rzekł sierżant. — Gdyby jednak przypomniał pan sobie jakiś charakterystyczny szczegół, który mógłby rzutować na nagły wyjazd Normana, wówczas proszę mnie zawiadomić.

— Tak. Oczywiście. Natychmiast — skwapliwie przytaknął gospodarz.

Deszcz przestał padać. Niebo z wolna rozpogadzało się. Sierżant wstąpił do „Akwarium”, gdzie stało kilkunastu młodych mężczyzn i dwie podstarzałe panie wiadomej profesji.

Cholera, gdzie on mógł wyjechać? — zastanawiał się sierżant popijając piwo. I dlaczego akurat w przededniu wyjścia z więzienia Spaśkowskiego? Czy ma to jakiś związek? Czy rzeczywiście istnieje ta jego dziewczyna? Ostatni raz widziano go w poniedziałek. Dziś mamy sobotę. Przecież musiał mieć jakichś znajomych, jak to słusznie zauważył gospodarz. Tylko gdzie ich szukać? Może któryś z tych tu mógłby coś powiedzieć? Sierżant leniwie, jakby od niechcenia, rozejrzał się po zadymionej sali. Przy bufecie stał niski mężczyzna z ohydną szramą wzdłuż lewego policzka — efekt bójki, w której zarobił kuflem. Był to Marek Sel znany sierżantowi. Sel był jednym z nielicznych, którzy obracali się wśród zamkniętego kręgu ludzi z marginesu, a który dotychczas nie miał na koncie żadnego wyroku. Znany był przede wszystkim z częstego upijania się i

zасыpania w knajpach. Kelnerzy, którzy znali go jak zły szeląg, odmawiali podawania mu wieczorami alkoholu, gdyż niejednokrotnie musieli prosić o interwencję milicję.

Wskutek chorobliwego wprost pędu do piwa miał okazję poznać niejednego z byłych więźniów. W środowisku tym nazywano go Kajtek.

Sierżant dłużej zatrzymał na nim wzrok, a Sel widocznie odczuł to spojrzenie, gdyż ukradkiem zerknął w stronę milicjanta.

— Co nowego, Kajtek? — zagadnął sierżant podchodząc. — Widzę, że pracujesz.

— Wskoczyło się na piwko, panie sierżancie — odparł po chwili, próbując zbagatelizować nieobecność na pobliskiej budowie, gdzie pracował jako pomocnik murarski. Sierżant zanotował to sobie w pamięci i przeszedł do interesującego go tematu.

— Słuchaj, Kajtek, kiedy widziałeś się ostatnio z Normanem — blefował, gdyż nie był pewny, czy Sel zna Normana. — Chodzi o Adama Normana, wiesz, tego, co pracuje w warsztacie u Mroza, na Nowickiego.

Strzał okazał się celny. Kajtek zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widział Normana. Ale pamięć najwyraźniej mu szwankowała; zadarł więc głowę i wlepił oczy w sufit, jakby tam była zapisana data. Wreszcie przeniósł wzrok na sierżanta i zagryzł dolną wargę, a blizna na policzku wydłużyła się, nadając twarzy upiorny wygląd.

— Chyba na początku tygodnia... Tak, na początku tygodnia, w poniedziałek. Widziałem go na „Rapaka”. — I zaraz dodał: — A o co chodzi?

Sierżant udał, iż nie słyszy pytania.

— Rozmawialiście?

— Nie. Widziałem go przelotnie.

— O której?

— Gdzieś koło południa. Chyba czekał na tramwaj.

— Jak był ubrany?

— W komplet wranglerów i jakąś koszulę w kratę; jak go znam — pewno flanelową. Na ramieniu miał czarną torbę, taką

sportową, wie pan, nie — wyczerpał swą odpowiedź.

— I od poniedziałku go nie widziałeś? — nalegał sierżant.

— Nie widziałem — przyznał Sel.

— A gdzie go można spotkać, co?

— Sam pan powiedział, że pracuje u tego or... to znaczy, chciałem powiedzieć — przywaciarza... Powiem panu, że to nie jest mój kumpel. Rozmawialiśmy raptem parę razy w towarzystwie, przy piwie, i nic więcej — pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Przedtem powiedziałeś „jak go znam”, a teraz mówisz, że to nie jest twój kumpel. Coś tu nie gra, nie uważasz?

— Gra, gra. Znam go, ale to nie jest mój kumpel. Normalne, nie. Jak kogoś znam, to ten ktoś nie musi być od razu moim kumplem, nie.

Sierżant musiał mu w duchu przyznać rację.

— A jakie to było towarzystwo? — zapytał po chwili.

— Różne — rzekł Kajtek. W następnej chwili twarz mu stężała i drapiąc się w policzek, uzupełnił: — No wie pan, jak to przy piwie: różni ludzie. Nie pamiętam, teraz, kto tam akurat był.

Sierżant wiedział, że niczego więcej nie wydobędzie. Sel odstawił właśnie pusty kufel na ladę i oznajmił:

— Muszę iść do roboty. Zresztą, więcej nic nie wiem. — Ukłonił się i wyszedł, a sierżant zapalił papierosa i po chwili również opuścił kiosk.

Świeciło słońce. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na chodnikach pojawiły się tłumy ludzi. Sierżant postanowił wracać pieszo i dał się nieść fali przechodniów.

Doszedł do skrzyżowania z toruńską trasą W-Z i skręcił w stronę hotelu „Helios”. Liczył, iż uda mu się przeprowadzić rozmowę z kelnerem, który w nocy z wtorku na środe pracował w „Piekielku”. Kelnera jednak nie zastał, ponieważ miał wolne, a do pracy, według informacji kierownika sali, przyjdzie o dziewiętnastej.

Sierżant udał się do komendy.

Parę minut przed końcem pracy Kajtek opuścił plac budowy i popędził do Szymka.

— Ty, ten męt z komendy miasta pytał mnie dziś o Normana. Co tu jest grane?

— Nie świruj nietoperza — odparł Szymek. — Po co tutaj przyszedłeś? Trzeba było zapytać się pana władzy, o co mu chodzi.

— Nic nie świruję. A jego też pytałem! Ale czy to coś ci powie? Kajtek zapalił.

— Chcesz mi wcisnąć, że nie wiesz o zamordowaniu Romana? — powiedział Szymek.

— Co ty??? Jakiego?! Gdzie? — Kajtek wytrzeszczył oczy.

— Nie zwracaj głowy. I spłyn stąd. Czekam na jedną manę — Szymek podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce.

— No, już, już. Ale co to za Roman? Znam go? — Wbił oczy w Szymka.

Patrzyli na siebie dłuższy czas, w końcu Szymek powiedział:

— Spaśkowskiego. A teraz spływaj. No, zrywaj się! — otworzył drzwi, a ponieważ Kajtek miał ochotę jeszcze coś powiedzieć, o coś zapytać, wziął go za ramię i wyrzucił z mieszkania.

Kajtek wolno wyszedł na podwórze i poszedł do piwiarni na Żeglarskiej, gdzie o tej porze zaczął się największy ruch.

O 19.30 w „Piekielku” był niemal komplet gości. Dwaj milicjanci z Komendy miasta: sierżant Obarski i plutonowy Romańczuk zajęli miejsca przy zarezerwowanym stoliku. Chcieli sprawdzić relację Szymańskiego. Poza tym liczyli, iż uda się porozmawiać z kimś, kto zna Normana.

Do stolika podszedł znany Romańczukowi kelner, pan Stanisław.

— Czym mogą służyć? — spytał z zawodową uprzejmością.

— Panie Stanisławie — zaczął Romańczuk — chcielibyśmy z panem pogadać o pewnej sprawie. Ma pan trochę czasu?

— Oczywiście. Przejdźcie, panowie, na zaplecze, zaraz tam przyjdę.

Funkcjonariusze MO przeszli do małego pokoiku za sceną. Po chwili pojawił się kelner.

— Służę panom.

— Przede wszystkim, czy zna pan Szymka? — sierżant sięgnął po fotografię, lecz okazało się to niepotrzebne, gdyż kelner natychmiast przytaknął.

— Tak. To ten, który bodajże pół roku temu wyszedł z paki. Niewysoki. Mieszka na Mickiewicza.

— Właśnie! Kiedy go pan ostatnio widział?

— Był tu wczoraj.

— A pamięta pan może, czy był u was z wtorku na środę?

— Z wtorku na środę? — głośno zastanawiał się pan Stanisław. — Z wtorku na środę... chyba, chyba był. Zdaje się z dwoma facetami — mówił teraz szybciej, jakby już przekonany, że widział tutaj tamtej nocy Szymka — mniej więcej w jego wieku, ale ich nie znam. No, tak. Był! Na pewno. Jeden z gości spił się i Szymek z jednym ze swoich kompanów pomagali mu wyjść z lokalu. Było już grubo po północy.

— Taak — powiedział plutonowy raczej do siebie niż do kelnera. — Aha, jeszcze jedno: czy Szymek w międzyczasie nie wychodził? I czy wrócili po wyprowadzeniu tego pijanego?

— Wrócili od razu; po pięciu minutach najwyżej. Trudno mi odpowiedzieć, czy w międzyczasie nie wychodził... W każdym razie nie zauważyłem — odparł kelner, wzruszając ramionami.

Milicjanci podziękowali i wrócili do swego stolika. Postanowili zostać dwie-trzy godziny. Na sali panował mrok, tylko reflektory rzucały kolorowe, pulsujące światło na podrygujące pary. Przy trzech czy czterech stolikach siedzieli goście, reszta tańczyła, bądź grała na automatach stojących przy wejściu do sali. Dwaj podoficerowie obserwowali bawiących się gości.

— Napijmy się — rzekł sierżant.

Wychylili po kieliszku żytniej.

— Zatańczyłbym — powiedział plutonowy. — W końcu, jak już tu jestem, nie będę cały czas siedział i gapił się, jak inni wywijają fokstroty.

— Nie widzę przeszkód. Tym bardziej, że ktoś tu zapatrzony jest w ciebie niczym w piękny obraz — odparł uśmiechając się sierżant. I zaraz dorzucił: — Widzisz ię babkę — wskazał głową dziewczynę o niespotykane długich nogach i pięknych włosach.

— Ano spróbujemy — rzekł plutonowy.

Orkiestra przestała jednak grać. Dopiero gdy skończyła się przerwa i muzycy wracali do swych instrumentów, Romańczuk wstał i podszedł do stolika, gdzie siedziała dziewczyna. Zgodziła się od razu. Tańczyli w milczeniu, które w końcu przerwała:

— Pan z Torunia?

— Owszem. A pani?

— Także, ale widzę tu pana po raz pierwszy.

Stała klientka, pomyślał plutonowy.

— Wspaniale pani tańczy, pani...

— ... Jolu — podpowiedziała dziewczyna.

— Genek.

Kujmy żelazo póki gorące, postanowił plutonowy.

— To twój chłopak? — zapytał o tego, z którym siedziała przy stoliku.

— Poznaliśmy się na basenie. Zaprosił mnie na dancing. To wszystko.

Orkiestra grała trzecią melodię, po której miała nastąpić przerwa. Romańczuk medytował, jak by tu wejść w bliższy kontakt z dziewczyną. Jakimś szóstym zmysłem przeczuwał, że Jolka zna tych z marginesu.

— Chodź, napijemy się — zaproponowała niespodziewanie.

— No a ten chłopak — powiedział nieśmiało plutonowy

— Spławię go. Jest nudny.

Przerwali taniec i przeszli przez salę, by sięść przy szerokim barze na wysokich stołkach. Zamówili koniak.

— Kolega nie tańczy? — spytała Jolka, kiedy wypili.

— Nie ma ochoty. Ale to on poradził mi zatańczyć z tobą.

Dziewczyna schyliła nieco głowę. Długie ciemnoblonde włosy zasłoniły jej twarz, dotykały mini spódniczki, która sięgała połowy ud. Podniosła głowę niespodziewanie i rzuciła Romańczukowi szybkie, przekorne spojrzenie. Prawą dłoń podniosła do ust i lekko uderzała opuszkami palców. Dumiała nad czymś. Rozważania przerwał chłopak, z którym przyszła na dancing.

— Można cię prosić? — zapytał niepewnie, stając obok.

— Słucham. To mój kolega — wskazała Romańczuka. — Poznajcie się.

— Marek — przedstawił się chłopak.

— No, pięknie — powiedziała dziewczyna. — A teraz zostaw nas samych. Muszę porozmawiać z Genkiem.

— Jak mam to rozumieć? — zaniepokoił się Marek.

— Aleś ty nudny — westchnęła. — Mówiłam ci przecież, że muszę porozmawiać.

— Spotkamy się jutro? — dopytywał się Marek. Dziewczyna wzniosła oczy i zwróciła się do Romańczuka:

— Powiedz mu, niech sobie idzie.

Interwencja okazała się niepotrzebna, gdyż Marek odszedł. Plutonowy kątem oka dostrzegł, iż chłopak opuszcza lokal. Przeszli do stolika, gdzie oczekiwał ich sierżant

Obarski.

— To panu zawdzięczam, że Genek poprosił mnie do tańca? — poinformowała się Jolka siadając.

Orkiestra zaczęła grać. Czerwone światło reflektora musnęło twarz dziewczyny i obaj mężczyźni musieli przyznać, że jest bardzo ładna.

— Przepraszam na chwilę — Romańczuk podniósł się, widząc, iż pan Stanisław przyzywa go ukradkiem.

— Ta też była we wtorek. Chyba nawet tańczyła z którymś z kompanów Szymka — poinformował plutonowego.

— Ona jest tu stałą klientką. Nie mylę się, prawda?

— Zgadza się. Przychodzi często. Zmienia facetów jak rękawiczki. Podobno studiuje.

— Jeżeli chodzi o zmiany facetów, to zdążyłem zauważyć — przyznał plutonowy.

— Ale tak w ogóle to ładna dziewczyna — pan Stanisław przymknął lewe oko. — Życzę powodzenia.

— Znasz pana Stanisława? — zapytała Jolka plutonowego, kiedy ten usiadł.

— Trochę — odparł nieco zaskoczony pytaniem.

— Fajny starszy pan, prawda? — powiedziała, uśmiechając się lekko. — Ciekawa jestem, co ci powiedział? Bo nie wątpię, że coś na mój temat.

- Powiedział, że często tu bywasz i że podobno studiujesz. Powiedział coś jeszcze, czego ci nie powtórzę.
- Nie musisz, ja wiem — odrzekła zmieniając wyraz twarzy. Romańczuk milczał. Dziewczyna sięgnęła po kieliszek.
- Salut.

Radiowóz zatrzymał się przed Izbą Wytrzeźwień.

Sela wprowadzono do jasno oświetlonego, kwadratowego pokoju na parterze. Pod ścianą, na wprost drzwi, stało wielkie biurko, przy którym, tyłem do wejścia, siedział masywnych rozmiarów milicjant. Z boku, wsparty o blat, stał średniego wzrostu felczer o rumianej twarzy i gęstych, kręconych blond włosach.

— Kolejny klient — powiedział do siedzącego milicjanta sierżant Mak.

— Sel, co ci się przytrafiło. Dawno cię tu nie było, chłopie.

Kajtek milczał i chwiał się na boki. Milicjant zawiesił pytające spojrzenie na sierżancie Maku.

— Leżał pod „Akwarium” na Nowickiego.

— Dawaj rzeczy i do góry — wskazał trzy stopnie prowadzące do krótkiego, rozgałęzionego korytarza, gdzie stała szafa z bielizną przygotowaną na przyjęcie pensjonariuszy.

Kajtek opróżnił kieszenie.

— To wszystko? — spytał milicjant.

— Wszystko. Czy mogę jeszcze zapalić?

— Rano sobie zapalisz. — Milicjant zapisał w karcie wyłożone przez Sela rzeczy i pieniądze. — Akurat starczy ci na kilka piw, po opłaceniu noclegu, ma się rozumieć — powiedział, przeliczywszy pieniądze. — Podpisz tu — podał kartkę, na której Sel składał podpisy. Potem przeszedł do korytarza i usiadł na niskiej i wąskiej ławce. Rozebrał się do naga i jeden z pracowników Izby kazał mu wejść pod prysznic znajdujący się tuż przy drzwiach wiodących do jednej z sal.

Zimna woda niewiele Kajtkowi pomogła. Po kąpieli wytarł się ręcznikiem podanym przez tego, który kazał mu wejść pod prysznic, i wrócił na korytarz, gdzie czekała długa, do kostek koszula.

W sali unosił się odór taniego wina i moczu. Sel nie mógł jednak tego czuć, ponieważ miał te zapachy na co dzień i siłą rzeczy zdążył już do nich przywyknąć. Przy drzwiach stało nie zajęte niziutkie łóżko przykryte nieskazitelnie białą powłoką skrywającą koc, równie czystym prześcieradłem i niewielkim jaśkiem. Było to jedyne wolne łóżko i Sel, nie mając wyboru, musiał je zająć. Na kilku pozostałych spali pijacy. Kajtek jakby otrzeźwiał i z uwagą rozejrzał się po sali, szukając jakiegoś znajomego. Tylko dwóch mężczyzn uniosło głowy, by spojrzeć na nowo przybyłego. Zaraz też, rozczarowani, opuścili je na powrót. Pozostali leżeli w najdziwniejszych pozach.

Kajtek zauważył jeszcze jedno puste łóżko, lecz obok, niżej, spoczywał z podwiniętymi nogami i prawą ręką pod skołtunioną głową jakiś starszy mężczyzna. Łóżko na którym leżał Kajtek było najgorzej usytuowane. Wiedział o tym z doświadczenia. W nocy zaczynały się istne wędrówki ludów i co raz któryś z pijaków przewracał się na to nieszczęsne łóżko. Kajtek naciągnął koc na głowę i zasnął. Jeden ze śpiących zerwał się nagle i podbiegł do drzwi, waląc w nie pięściami.

— Wody, wody łapiduchy! Wody, bo...

Drzwi otwarły się niespodziewanie.

— Bo... — milicjant zawiesił głos.

— Nic, nic, panie władzo. Chciałem się tylko napić. Wolno chyba, nie.

— Stasiek, daj no mu kubek kawy, bo jeszcze umrze i nie będziemy mieli roboty.

— Bacikowi?

— A komuż by. To przecież nasza podpora. Bez niego poszlibyśmy z torbami.

— Masz, Bacik, na zdrowie. I nie mów, że cię już więcej nie ujrzą nasze oczy.

Bacik duszkiem opróżnił kubek i bez słowa wrócił do łóżka. Drzwi z trzaskiem zamknęły się. Bacik nie zdążył jeszcze przykryć się kocem, kiedy jakiś chłopak, niezwykle chudy i wysoki, odrzucił przykrycie i ruszył do drzwi.

— Do kibla! — zapiął piskliwym głosem. A ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, ponowił wołanie i trzasnął otwartą dłoń w

obite blachą drzwi. I tym razem bez rezultatu. — Do kibla! — wrzeszczał teraz wniebogłosy, trzymając się jednocześnie za krocze. — Otwierać, bo się posikam!!!

— Zamknij mordę! — krzyknął ktoś z sali, lecz wysoki nie ustawał w swych nawoływaniach, tak jak nie ustawał w przebieraniu nogami.

— Co tam? Nie mogłeś od razu? Cholera, każdy by chciał szwajcara.

Pan Stasiek otworzył drzwi i chudy wypadł z sali jak z katapulty.

— Cholerny chudzielec, szczać mu się zachciało. Niech se zwiąże w supel, to będzie miał spokój — obwieścił ze śmiechem Bacik.

— Taki długi to może lać, nie.

— Długi jak miesiąc a chudy jak wypłata.

— Słyszałem to sto lat temu.

— Zamknijcie się tam — wtrącił się kolejny przebudzony. — Kurwa, żeby nie było można się wyspać. Płacę jak za najlepszy hotel, a spać przeszkadzają, grom jaśnisty.

— Nie narzekaj, nie narzekaj. A jak ci się nie widzi, to do „Heliosu”. Tam je dopiero towarzystwo, ho, ho! Widziałem, to wiem.

— A mój szwagier to jest tam za portiera. Ten jak zacznie opowiadać, mówię ci, aż wierzyć się nie chce. Raz to... — i zaczęła się opowieść, której nie przerwał nawet powrót chudego.

O dziewiątej rano Chudy i Kajtek siedzieli już „Pod Gołąbkim”. Minęła północ, gdy opuścili lokal. Plutonowy zaproponował Jolce spotkanie, na co skwapliwie wyraziła zgodę; potem się pożegnali. Plutonowy ciągle liczył, iż uda mu się dowiedzieć czegoś w interesującej milicjantów sprawie.

Następnego dnia o czwartej po południu Romańczuk wszedł do winiarni „Zamkowa”. W szarym sportowym garniturze, pod którym rysowały się potężne bary, i z króciutko ostrzyżonymi włosami — prezentował się doskonale.

Parę dziewcząt z zainteresowaniem spojrzało na młodego mężczyznę. Plutonowy usiadł plecami do ściany, tak, by mieć przed oczyma wejście. Był jeszcze jeden powód, dla którego od pół roku siadał plecami do ściany. Wtedy wszystko skończyło się dobrze, ale Romańczuk był wściekły, że dał się zaskoczyć.

Po dziesięciu minutach w wejściu pojawiła się Jolka. Miała na sobie krótką spódniczkę w szkocką kratę i śnieżnobiałą bluzkę; na piersiach dyndał medalion — miniaturka obrazu Leonarda da Vinci „Dama z gronostajem”, na lewym ramieniu dziewczyny wisiała elegancka czarna torba. Długa grzywka stykała się nieomal z pięknie zarysowanymi łukami brwi. Na widok Romańczuka rozchyliła w uśmiechu usta, ukazując nieskazitelnie białe zęby.

— Yyym — z uznaniem obrzuciła Romańczuka wzrokiem — ależ z ciebie przystojny chłopak.

— Jak minął dzionek? — spytał uśmiechnięty.

— Wstałam po pierwszej, wykapałam się, zjadłam obiad i czekałam na spotkanie z tobą — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Kelnerka podała dwie lampki wina. Jakiś chłopak uklonił się dziewczynie.

— Masz tutaj dużo znajomych, co?

— Trochę. Większość z uczelni. Ale nie tylko.

— Cały czas mieszkasz w Toruniu?

— Od urodzenia.

— Słuchaj — zaczął plutonowy z nagłym ożywieniem. — Spotkałem w ubiegłym roku nad morzem paru fajnych ludzi. Ponieważ miałem właśnie jechać do Torunia, jeden z nich dał mi adresy dwóch facetów; pech chciał, że zgubiłem gdzieś kartkę, pamiętam jednak nazwiska. Jeden nazywał się Spaśkowski albo Spaskowski, czy jakoś tak — dziewczyna drgnęła — a drugi Norman, o ile pamiętam na imię miał Adam.

— Może znasz któregoś?

— A nie pamiętasz imienia tego pierwszego?

— Właśnie, jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

Po krótkim wahaniu Jolka odparła:

— Znałam jednego Spaśkowskiego. Spotykałam się nawet z

nim przez pewien czas, ale jeżeli to ten, którego chciałbyś spotkać, to nic z tego... siedzi.

— To dopiero! — wykrzyknął plutonowy z udanym zdumieniem. — A co mu się przytrafiło?

— Jakieś tam włamanie, do sklepów czy gdzieś... Chyba nawet, tak, powinien, zdaje się, niedługo wyjść, o ile dobrze pamiętam... A o tym drugim nie słyszałam.

— No, to w końcu nieistotne — machnął ręką Romańczuk. — Napijmy się.

Plutonowy Romańczuk spędził z dziewczyną ponad dwie godziny. Nie wracał już do zasadniczego tematu. Odprowadził Jolkę do domu i obiecał zadzwonić w tygodniu.

— Nooo, jesteś! — wykrzyknął sierżant Obarski, gdy tylko plutonowy pojawił się w progu komendy. — Jak tam twoja dziewczyna, co? Masz coś? Jak było?

Romańczuk dokładnie przedstawił przebieg wczorajszego spotkania z Jolką.

— Ciekawe, co ona wie? — głośno zastanawiał się sierżant. — Kto by pomyślał: taka dziewczyna i Spaškowski, no, no, no. Dziwnie się plecie na tym świecie. Nie uważasz?

— O tym samym myślałem — przyznał plutonowy. — Nie chciałem jej od razu wypytywać zbyt nachalnie, żeby nie zaczęła się czegoś domyślać. I tak dziwne, że nie zapytała mnie do tej pory, gdzie pracuję.

Interesująca dziewczyna.

— Ciekawe, bardzo ciekawe — powtórzył w zamyśleniu sierżant. — W każdym razie trzeba dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Może akurat, może... No i tego chłopaka z „Piekielka”, jak mu tam? Marek? też trzeba sprawdzić,

— Gdzie zniknął Norman?

— Właśnie: gdzie?

Rozdział VI

Wieczorem sierżant Obarski wsiadł w pociąg relacji Olsztyn — Wrocław. We Wrocławiu przesiadł się do autobusu idącego

do Ząbkowic Śląskich i rano, innym autobusem dotarł do Budzowa, wioski odległej jedenaście kilometrów od Ząbkowic.

Wioska leżała u wejścia do rozległej kotliny, otoczonej od zachodu i północy zielonymi wzgórzami, których szczyty porastały wysokopiennie lasy, kryjące jeszcze ruiny potężnej twierdzy, wzniesionej w XVIII wieku. Początkowo twierdza pełniła funkcje obronne, później przekształcono ją w więzienie, a w czasie II wojny światowej Niemcy urządzili w niej obóz jeniecki. Ostatnio harcerze adaptowali ruiny dla własnych potrzeb i co roku urządzali tu letnie obozy.

Sam Budzów założony został w XIII wieku, kiedy to odkryto tu pokłady srebra. Właśnie na czas eksploatacji kopalń przypada świetność Budzowa. Czasy te należały już jednak do zamierzchłej przeszłości. Podjęte w ubiegłym wieku próby uruchomienia kopalń były nieopłacalne. Poza tym wioskę kilkakrotnie trawiły pożary, między innymi w czasach wojny trzydziestoletniej i wojen napoleońskich.

Mimo pożarów i faktu, że czasy świetności miała już za sobą, wioska sprawiała wrażenie dostatniej. Piętrowe, różnobarwne domy, odsunięte nieco od drogi, tonęły pośród bielonych pni owocowych drzew. Tu i ówdzie widać było kobiety pracujące na grządkach przed domami. Poboczem maszerował rząd gęsi, zmierzających do ocienionego wierzbami stawu, w którym pluskały się już kaczki. Przed sklepem trzy kobiety z siatkami w rękach rozmawiały głośno, co rusz wybuchając perlistym śmiechem.

Sierżant Obarski wysiadł z autobusu i od razu sprawdził rozkład jazdy. Zapisał godziny odjazdów w notesie, potem sięgnął po papierosy i przeszedł na drugą stronę szosy.

Przy sklepie zapytał o Normanów.

— Trzeci dom po tej samej stronie — wskazała jedna z kobiet.

Ponieważ drzwi były zamknięte i nie dochodził zza nich żaden odgłos, sierżant przeszedł przed frontonem domu i znalazł się na obszernym podwórku.

Z jednego z pomieszczeń gospodarczych wyszła otyła kobieta w czystym niebieskim fartuchu, która okazała się matką Adama Normana.

— Czy Adam jest w domu? — zapytał Obarski.

— Adam? — kobieta była kompletnie zaskoczona. — Jak to? On tu nie mieszka, pan nie wie? Syn od dawna jest w Toruniu. Pracuje tam.

Dopiero teraz sierżant przedstawił się. Kobiecie opadła dolna szczęka. Nie była w stanie wydusić słowa. Machinalnie wycierała ręce w fartuch. Obarski zapytał:

— Kiedy ostatnio widziała się pani z synem?

— Na początku roku — wyjąkała. — W lutym.

— Czy od tamtego czasu nie było go tutaj? Nigdy nie przyjeżdżał? Na święta jakies...

Zaprzeczała ruchem głowy.

— Na Wielkanoc także nie było go w domu?

— Nie. Przysłał tylko kartkę. Mogę panu pokazać, trzymam w kredensie. Wysłałam mu paczkę z jedzeniem, bo wie pan, co to za jedzenie w mieście — mówiła odzyskując kontenans. — Co...

— Wyjechał z Torunia — sierżant uprzedził pytanie kobiety — kilka dni temu. Szukamy go. W pracy nic nie wiedzą. Myślałem, że może wrócił do rodziców.

Normanowa zaprosiła sierżanta do domu.

W kilka minut później z pola wrócił ojciec Adama. Sierżant miał nadzieję, że dowie się czegoś interesującego.

— Znowu?! — Było to pierwsze słowo, kiedy żona przedstawiła mu sierżanta. — Znowu się doigrał. Panie, ile razy ja z nim gadałem to jeden Bóg zliczy. Niech go jasna...

— Niech się pan uspokoi. Jeszcze nic nie wiemy. Po prostu staramy się go znaleźć.

— Ale dlaczego?

— Widzi pan, zamordowano jednego z jego współników...

— Nie!

— Rozumie pan, że w tej sytuacji zniknięcie Adama bardzo nas interesuje.

— O Jezu! — wykrzyknęła Normanowa. — Jezu! Tego tylko brakowało. Chryste panie... — kobieta chwyciła się za skronie i zacisnęła usta.

— Proszę się niczego nie obawiać. Synowi nic nie grozi — zapewniał sierżant, mając jednocześnie nadzieję, że taka jest

prawda. — Syn państwa wyjechał z Torunia w przeddzień morderstwa. W każdym razie widziano go ostatni raz dzień przed morderstwem. Właściciel zakładu, u którego Adam pracował, twierdzi, że Adam wspominał mu o wyjeździe do jakiejś dziewczyny. Nikt jednak nie wie, co to za dziewczyna, nie zna jej adresu... Czy Adam nie zwierzał się państwu w tej sprawie? Może wspominał coś o jakiejś dziewczynie. Proszę sobie przypomnieć.

— Panie, on nigdy nie nam nie mówił — powiedział ojciec. — Cholera go wie, co on sobie w ogóle myśli. Jak wrócił z więzienia, to mówię mu: skończ z tymi wycieczkami po Polsce. Co ci dało, żeś przeniósł się do Torunia. — To też trzeba mieć, żeby jechać taki świat drogi — Norman pokiwał głową. — Co ci to dało? — mówię. Wracaj z powrotem do Budzowa i zostań na gospodarce. Niby to słuchał, niby potakiwał, myślałem, że mu wreszcie przemówił do rozumu, ale gdzie tam! W tydzień później znowu spakował manatki i pojechał do tego Torunia. Postawiłem już na niego krzyżyk — zakończył Norman.

Potem dodał:

— Niech pan pomówi z matką.

Dopiero po chwili odezwała się Normanowa.

— To nie był zły chłopak. — Norman tylko się skrzywił. — Na pewno namówili go do tego włamania...

— Z kim Adam przyjaźnił się przed wyjazdem z Budzowa?

— Bo ja wiem — zastanawiała się Normanowa. — Jak chodził do technikum, to miał jakichś kolegów, a potem... - wzruszyła ramionami. — Zaraz... — zwróciła się do męża — w Żąbkowicach przecież mieszka Janek Blochów

— No, mieszka.

— Adam był u niego przed wyjazdem. Sam mówił, że chce odwiedzić Janka.

Normanowa podała sierżantowi adres Blocha. Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym sierżant pożegnał się i ruszył w drogę powrotną.

Na przystanku autobusowym stało kilku ludzi. Sierżant zdążył wypalić papierosa, kiedy zza zakrętu wyłonił się kremowo-niebieski san.

Z okien widać było rozciągające się na wschodzie pola uprawne i bujne łąki, zwieńczone daleko na horyzoncie łysymi pagórkami. Potem panoramę przysłoniły przydrożne drzewa i zabudowania.

Jan Bloch mieszkał przy centralnym placu miasteczka, naprzeciw biblioteki. Zamierzał właśnie wyjść z mieszkania, kiedy Obarski zapukał do drzwi. Zdziwił się bardzo niespodziewaną wizytą milicjanta i celem tej wizyty.

— Adam mówił, że najbardziej denerwuje go to, że nie może znaleźć zrozumienia u rodziców. Muszę panu powiedzieć, że ja też nie bardzo go rozumiałem. Ostatnio spotykaliśmy się bardzo rzadko. W trzeciej klasie technikum Adam zrezygnował z dalszej nauki; pracował u różnych prywaciarzy, nigdzie jednak nie zagrzewając dłużej miejsca, lego ojciec chciał, żeby został na gospodarce, ale ta praca nie była dla Adama. Pokpiwał sobie nieraz z rodziców. Pamiętam, że kiedy był tutaj w lutym bodajże, mówił: „Oni myślą, że jestem stworzony do pracy na roli, bo tak było w rodzinie od pokoleń. Denerwują mnie. Za dobrze o mnie myślą.” Później dodał — ciągnął Bloch — „Chudy bił i błady jak ten nas prosiacek, nic nikomu nie wadził, tylko śtyry razy na posterunku bił meldowany, a raz to nawet i wyżej”. Myślę, iż według Adama, miało to odzwierciedlać stosunek jego rodziców do niego, troskę o niego, mniemanie o nim. Zresztą może powiedział to tylko, żeby mnie rozśmieszyć. Może to miał być rodzaj dowcipu?

— Czy nie zwierzał się z jakichś planów na przyszłość?

— Mówił, że wraca do Torunia. Co będzie robił dalej, jeszcze nie wiedział. Miał napisać, ale listu żadnego nie dostałem. Wie pan, charakterystyczne, no może nie tyle charakterystyczne, co dziwne, wydało mi się to, że z lekceważeniem, z ironią wyrażał się o swoich kompanach i tych, z którymi był w więzieniu. Uważał to całe towarzystwo za głupców.

— Nie miał żadnej dziewczyny?

— Nie przypominam sobie.

— Poza panem miał tutaj jakichś kolegów, prawda?

— Nie wydaje mi się — odparł po paru sekundach zastanowienia. — W tym wieku ma się jakichś tam kolegów,

przyjaciół, choć to pewno zbyt wielkie słowo, ma się wspólnych znajomych, choćby ze szkoły, ale mówi się im „cześć” na ulicy i to wszystko — to zdanie Adama — zastrzegł się od razu Bloch. — Mówię to panu, aby pokazać, jaki był stosunek Adama do wszelkiego rodzaju znajomych. Nigdy nie zabiegał o towarzystwo, lecz człowiek nie może być sam, i Adam od czasu do czasu przychodził do mnie, by pogadać. To dziwny człowiek... Dziwny — powtórzył w zamyśleniu.

— Dlatego, że miał taki stosunek do ludzi?

— Wie pan, szliśmy kiedyś ulicą, jeszcze przed aresztowaniem Adama, przed jego wyjazdem do Torunia, a na skwerze dwóch chłopców strzelało z procy do wróbli; Adam od razu zabrał im proce i coś tam klarował na temat ochrony przyrody. Potem poszliśmy na piwo. Jakiś facet potracił Adama, zupełnie niechcący, wylało się trochę piwa, i Adam, nie słuchając żadnych przeprosin, uderzył tego gościa tak, że kiedy przypadkowo spotkałem go kilka dni później, miał jeszcze siniaka pod okiem. Znowuż innym razem dał jakiemuś zapłakanemu malcowi pięćdziesiąt złotych, które dostał na zakupy i zgubił, a bez nich bał się wracać do domu, gdyż groziło mu rżnięcie.

— Tak — powiedział wolno sierżant. — Dlaczego jednak Norman wyjechał do Torunia? Dlaczego właśnie do Torunia, a nie na przykład do Wrocławia, czy gdzie indziej?

— Miał tam jakiegoś znajomego z wojska:

— Więc jednak — podchwycił sierżant.

— No właśnie! Dlatego między innymi uważam, że był dziwny — powiedział Bloch. — Zresztą, kiedy człowiek decyduje się na wyjazd do obcego miasta, to oczywiście musi mieć w tym swój cel. Adam z pewnością miał dość Budzowa i Ząbkowic, a ponieważ miał w Toruniu znajomego, pojechał właśnie tam.

— A może był jakiś inny powód? Dlaczego pojechał na drugi prawie koniec kraju?

— Tego nie wiem. Może gdzie indziej nie miał nikogo?

— Czy Norman wymienił nazwisko bądź imię tego znajomego z wojska? Może mówił o nim? Na przykład gdzie ten pracuje?

— Nie przypominam sobie.

- A gdzie służył?
- W Gdańsku.
- No, cóż, bardzo panu dziękuję za informacje.
- Nie ma za co. Jeżeli w czymś pomogłem, to cieszę się — powiedział uprzejmie Bloch.

Służył w Gdańsku, rozmyślał sierżant, idąc do autobusu. Jednak żaden z jego współników nie służył na Wybrzeżu. Co to za znajomy?
Nad ranem Obarski powrócił do Torunia.

Rozdział VII

Porucznik Zgiel był wściekły. Czas mijał, a efektów śledztwa nie było. Morderca pozostawał wielką niewiadomą, Porucznik postanowił przetrząsnąć znane meliny. Liczył, iż w ten sposób wpadnie na jakiś trop.

Pokój tonie w kłębach dymu.

Przy okrągłym stole trzech młodych mężczyzn gra w pokera. Na stole stoją dwie butelki: jedna pusta, w drugiej jest jeszcze trochę wódki. Przed każdym z graczy plik banknotów. Przed każdym popielniczka, paczka papierosów, zapalniczka. Z boku dwie talie nowych kart. Przy krzesłach widać butelki z wodą mineralną. Obok stołu, w miejscu czwartego krzesła — nocna lampa z czerwonym abażurem. To jedyne światło. Na wersalce przy przeciwległej ścianie pół leżąc, pół siedząc rozparzy się dwie dziewczyny w strojach bikini i starszy półnagi mężczyzna.

Dziewczyna siedząca z lewej strony mężczyzny przedłuża właśnie rękę w kieszeń leżącej obok marynarki. Jeden z trzech grających dostrzega ten ruch i ryczy, nie podnosząc głowy:

— Bacha, orientuj się! W dupę sobie włóż grabę.

Bacha natychmiast cofa rękę. Starszy mężczyzna zajęty jest biustonoszem drugiej dziewczyny — Janki.

Podłogę dokładnie przykrywa puszysty dywan, którego barwę trudno określić z uwagi na skąpe światło — strumień

pada akurat na blat stołu. Jeden kąt pokoju wypełnia niewielki stolik, na którym znajduje się magnetofon. Z magnetofonu płynie dyskretnie muzyka. Cztery nogi stołu łączy pomalowana na czarno sklejka — rodzaj drugiego blatu — na nim butelka wódki i parę kieliszków. Magnetofon i wódka pozostają w zasięgu ręki Janki. Dziewczyna odsuwa mężczyznę i bierze butelkę.

Gracz trzymający bank:

— W kasie siedem tauzenów.

Jeden z grających:

— Va banque.

W następnej chwili zgarnia wszystko.

Inna talia. Nowe rozdanie. Kolejna wódka. Następne papierosy. Przypadkowa melodia.

I znowu łapa mężczyzny sięgająca do biustonosza Janki.

Nie wiedzieć czemu, zupełnie ignoruje Bachę, która jest lepiej zbudowana. Bacha absolutnie nie przejmuje się brakiem zainteresowania. Jest jej to nawet na rękę; na tę którą jeszcze raz próbuje szczęścia w drodze do kieszeni. Tym razem ostrożnie, cały czas uważnie obserwując spod oka gracza, który udaremnił poprzednią akcję. I tym razem udaje się. Pieniądze chowa za gumkę majtek. Portfel na powrót ląduje w kieszeni.

Ten, który odezwał się pierwszy:

— Bacha, chodź tu — rozkazuje.

Dziewczyna podchodzi. Gracz kładzie karty i jednym szarpnięciem zdziera białe figi, które zatrzymują się na kolanach. Pieniądze lecą na dywan. Nagłe łomotanie do drzwi. Konsternacja. W następnej sekundzie karty i forsa znikają ze stołu; dziewczyny wskakują w kiecki; starszy mężczyzna siedzi oniemiały.

— Kto tam?! — rzuca zdenerwowanym głosem ten, który zgarnął pulę.

— Milicja. Otwierać!

Gorączkowa krzątanina dziewcząt. Jeden z graczy otwiera drzwi. Wpada trzech umundurowanych milicjantów.

— Światło! — rozkazuje sierżant Sawicki.

Błyska żarówka przy suficie.

— Dowody! Szeryf, widzę, że dalej kręcisz interes — krzyczy sierżant Mak.

Szeryf, krępy brunet w dżinsach i sportowej koszulce, rozkładając ręce odpowiada:

— Skądże, obywatelu sierżancie. Normalny prywat. To chyba nie zabronione, nie?

— Normalny prywat, mówisz. Czterech facetów i dwie dziewczynki notowane na obyczajajówce. A obywatel — sierżant zwraca się do starszego mężczyzny — w charakterze zaproszonego gościa, co?

Mężczyzna nie potrafi wydusić słowa.

— Cóż to, obywatel języka zapomniał? Pogadamy jutro, jak dojdziecie do siebie. Do radiowozu — rzuca kapralowi stojącemu przy drzwiach.

Kapral wyprowadza mężczyznę.

— Kto z was widział ostatnio Normana? Nie próbujcie kręcić.

— Takiego Normana? — pyta jeden z graczy.

— Kto to? — sierżant kieruje pytanie do Szeryfa.

— Pę..., to jest Janek. Dowód jest u sierżanta.

— Co za „pę”? — mówi sierżant ostrym głosem. Szeryf milczy.

— W porządku. Przejdziecie się na komendę i spróbujecie sobie przypomnieć.

— Czterdzieści osiem i będziecie musieli mnie puścić. — Szeryf jest oblatany.

— Brać go.

Kapral wyprowadza Szeryfa.

— No, „Pę”, jaką masz ksywę?

„Pę” waha się chwilę i mówi:

— Pędzel.

— Chodzi o Adama Normana. Jednego ze współników Szymka — wyjaśnia sierżant.

— Nie znam. Słyszałem coś o Szymku, ale...

— ...co? — przerywa sierżant Sawicki.

— Że równy gość. Niedawno wyszedł z kicmana. Nie znam go osobiście.

— Zgłosicie się jutro na komendę — oświadcza sierżant, oddając Pędzłowi dowód. — Puśćcie go. Kapral otwiera drzwi.

— Zdzisław Stocki — odczytuje z 'dowodu sierżant. — Wy też nie znacie Normana?

— Zgadł pan, sierżancie.

— Jak trafiliście na tę prywatkę?

Stocki rzuca okiem na Bachę, sierżant zauważa to spojrzenie i pyta:

— Skąd się znacie?

— Kto?

— Ksiądz Dudziak ze Stanclewa z arcyksięciem piekieł! Nie strugaj mi tu pajaca! O tę panienkę chodzi, Basia, zdaje się. Czy tak? — pyta dziewczynę, a ona potwierdza przypuszczenie skinieniem głowy. — No więc! — do Stockiego.

— Poznaliśmy się w ubiegłym tygodniu. Zupełnie przypadkowo.

— Na prywatce, oczywiście — kpi sierżant.

— No.

— No i co?

— No i chodzimy z sobą.

— Dobra. Przejedziecie się jutro, ma się rozumieć, razem... na komendę. Ty — zwraca się do Janki — też przyklepiesz z tą dwójką. Tylko żebyśmy nie musieli specjalnie was zapraszać — podkreśla sierżant, patrząc po twarzach trójki. — Brać dowody i nie widzę was.

Dziewczyny i chłopak wychodzą pośpiesznie.

— Przyprawdź Szeryfa — mówi sierżant do kaprała Brzostka.

Po chwili Szeryf staje w drzwiach.

— Teraz to nie przelewki. Popelniono morderstwo. Na pewno już słyszałeś. Szukamy Normana. Słucham więc...

Szeryf ściąga brwi Podchodzi do stołu. Zapala papierosa. Chciwie nabiera dymu.

— Zaraz po wyjściu Normana z kicia rozmawialiśmy parę razy. Potem Adam odseparował się. Chodził własnymi ścieżkami. Wiem, że mieszkał gdzieś na Kołtąja. Ale dawno go nie widziałem. Może Szymek coś wie? To wszystko, co mogę powiedzieć. Mówię poważnie.

Sierżant zna wagę ostatniego zdania w ustach Szeryfa, znaczy

to tyle, co słowo honoru.

— W porządku — oznajmia. — Aha, jeszcze jedno: o każdym wyjeździe meldować.

Milicjanci wychodzą.

Przesłuchania, które odbyły się w pokoju pięćdziesiąt sześć, ani o krok nie posunęły śledztwa.

Przesłuchani bądź rzeczywiście nie znali Normana, bądź też mieli niezbite alibi. Szymek również został wezwany. Na zarzut sierżanta Obarskiego, iż nie wspomniał o Jolce, odparł, że nie może pamiętać wszystkich dziwek, z którymi tańczyli jego znajomi. Co zaś tyczy się Normana, to nie widział go od paru tygodni. Poza tym potwierdził słowa Szeryfa.

Okazało się także, iż ani Groński, chłopak, który był z Jolantą Redczak na dancingu, ani ona, nie byli notowani na milicji. Dziewczyna jest studentką III roku fizyki na UMK. Mieszka sama na osiedlu Gen. Bema. Rodzice na rok wyjechali za granicę. Natomiast Marek Groński jest pracownikiem Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Mieszka z rodzicami przy ulicy Szerokiej.

Akcja penetracji melin zataczała coraz szersze kręgi. Na środowisko przestępcze padł przysłowiowy błąd strach. Coraz częściej milicjanci znajdowali znane im meliny zamknięte na cztery spusty.

Norman przepadł jak kamień w wodę.

Radiowóz wolno krążył po mokrych ulicach miasta. Deszcz tego lata padał o wiele za często. Ludzie kleli francową pogodę. A ilekroć zaświeciło słońce, tłumnie oblegali lewy brzeg Wisły i basen kąpielowy przy ulicy Kujawskiej.

Deszcz bębnił o dach wozu.

Kapral Brzostek, kierowca niemal doskonały, a mało nie spowodował wczoraj karambolu na śliskiej jezdni. Skończyło się na okazałym guzie, którego nabił sobie sierżant Mak

wskutek gwałtownego hamowania. Koledzy zasypywali go pytaniami na ten temat, lecz Mak milczał. Wreszcie sierżant Obarski wyraził przypuszczenie, iż prawdopodobnie użądliła go pszczoła, na co Mak odparł, że nie zdążyła, gdyż Brzostek utłukł ją łopata.

Zbliżał się świt. Wyjechali z ulicy Matejki i znaleźli się na wprost Tortoru. Po prawej stronie mieli osiedle Gen. Bema. W jednym z bloków, na drugim piętrze, paliło się światło.

— Stań — rzucił Romańczuk kapralowi prowadzącemu wóz.
— W pierwszej klatce, na drugim piętrze pod numerem ósmym mieszkają Redczakowie. To znaczy jest tam teraz tylko ich córka. W każdym razie powinna być. Rodzice wyjechali do Anglii, wrócą dopiero w listopadzie — ciągnął plutonowy. — Sprawdźcie, co się tam dzieje.

— A co ma się dzieć? — powiedział sierżant Mak.

— Może nic, ale pali się światło. O tej porze.

— No to co, dziewczyna coś czyta. Albo przy gruchała sobie jakiegoś faceta. Wolno jej — perswadował ze śmiechem sierżant Sawicki.

— Przypuszczam, że może mieć jakieś kontakty, znajomości spośród tych z marginesu — powiedział poważnie plutonowy.

— Nie chcę tam iść, bo ona mnie zna. Gdyby było coś ciekawego, zgaście dwa razy światło.

Sierżanci wyszli.

Romańczuk w napięciu patrzył na okno, z którego sączyło się słabe światło. Nie wiedząc czemu, oczekiwał, iż za moment światło dwukrotnie zgaśnie.

Minęło już sześć minut, a sierżanci nie wracali, nie było też umówionego sygnału. Plutonowy, zaniepokojony, wychodził właśnie z radiowozu, kiedy otwarły się drzwi klatki schodowej i pojawiły się dwie dobrze znane sylwetki.

— Dziewczyna najnormalniej w świecie zasnęła nad książką — zakomunikował Mak, gdy znaleźli się we wnętrzu i samochód ruszył. — Zadzwoniliśmy — podjął sierżant Sawicki, ponieważ Mak naciągnął czapkę na oczy i próbował zasnąć — raz, drugi: cisza, trzeci: czyjeś kroki i głos: „Kto tam?” — Milicja — mówię. — Proszę otworzyć. A ona: „Proszę zapalić

światło na klatce”. Cwana babka. Musiała nas sobie obejrzeć przez wizjer i dopiero wtedy otworzyła. Weszliśmy i mówimy, że szukamy faceta, który właśnie nawiał z ulicy. — „Jestem sama. A w ogóle to nie rozumiem, dlaczego miałby się ukryć właśnie u mnie”. Przeglądaliśmy na wszelki wypadek pokoje, kuchnię, łazienkę, no i oczywiście niczego nie odkryliśmy, bo niczego nie mogliśmy odkryć - zaśmiał się sierżant. — Ale babka klasa i warto było ją zobaczyć. Gdzie się taka uchowała, I skąd ty ją znasz, co?

— Spotkałem ją kiedyś — bąknął plutonowy.

Wjechali w ulicę Podgórną.

— Sherlock Holmes, patrz, tam też pali się światło — zadrwił sierżant Mak, który nie mógł zasnąć. — Widzisz ten niski domek za płotem.

Mimo to samochód zwolnił. Kaprał opuścił szybę. Do uszu załogi radiowozu doleciały słowa wulgarnej piosenki. Samochód minął ogrodzenie i zatrzymał się. Teraz dały się słyszeć fragmenty rozmów, w których „kurwa” służyła za przecinek. Wyszli, zostawiając w wozie Romańczuka.

Do okien stukał nowy dzień.

Naraz ktoś donośnie kichnął: „Aaaaaaaapsik”! Ktoś inny powiedział: „Na zdrowie”. I ktoś trzeci podsumował: „Nie mów krowie na zdrowie, i tak nie odpowie”. I huragan śmiechu. Znowu jakaś libacja, skonstatował plutonowy.

— Obchodzą urodziny — westchnął kaprał Brzostek, sadowiąc się za kierownicą.

W schronisku PTTK „Tramp” znajoma recepcjonistka poczęstowała wszystkich herbatą.

— U ciebie spokój? — zapytał sierżant Sawicki. — Nie ma jakiegoś, co to może pokazać, kim jest?

— Nie — roześmiała się pani Wanda. — A tamten — nawiązała do awantury sprzed kilku dni — był przewodniczącym... komitetu blokowego.

Podziękowali za herbatę i ruszyli dalej.

Nad miastem ukazało się czyste niebo.

— Może nareszcie będziemy mieli dobrą pogodę — westchnął Mak.

Gdzieniedzie pojawiali się ludzie śpieszący do tramwajów i autobusów, którymi mieli dojechać do pracy.

Sierżant Mak dopiął wreszcie swego i cicho pochrapywał.

Minęli dworzec autobusowy, I komisariat, teatr i dojechali do placu Rapackiego.

— Odwieziemy cię do domu, co? — powiedział kapral.

Romańczuk przytaknął zrezygowany:

— Dobra. Jestem wykończony. Jeszcze parę takich nocy, i będę musiał przez tydzień spać dwadzieścia pięć godzin na dobę.

— Obywatelu plutonowy — powiedział wesoło kapral Brzostek — głowa do góry. Aby do maja.

Radiowóz wracał do komendy miasta.

Kończył się kolejny dyżur. Śledztwo w sprawie wykrycia zabójcy Romana Spaśkowskiego nadal niczego nie wniosło, i sierżant Sawicki pomyślał, że nie chciałby być w skórze Romańczuka i tych z dochodzeniówki, kiedy porucznik Zgiet zażąda nowych materiałów.

Rozdział VIII

Tymczasem Adam Norman spędzał czas nie nudząc się ani trochę. Pogoda w Sopocie co prawda niewiele różniła się od tej w Toruniu, nie miało to jednak specjalnego znaczenia dla mężczyzny, który spędzał swój pierwszy od trzech lat urlop.

Przyjechał do Sopotu na zaproszenie kolegi z wojska, tego samego, który namówił go na przeniesienie się do Torunia przed pięcioma laty.

Franciszek Nowak wyprowadził się z grodu Kopernika podczas pobytu Normana w Iławie. Po wyjściu Normana na wolność spotkali się przypadkowo w Toruniu, dokąd Nowak przyjechał odwiedzić rodziców. Wymienili adresy i utrzymywali kontakt listowy. W czerwcu Nowak napisał, aby Norman rzucił Toruń i przeniósł się do Gdańska, gdzie może mu załatwić dobrą pracę w porcie i gdzie są duże szanse na szybkie otrzymanie mieszkania. Norman przystał na tę propozycję. Na

razie zainstalował się w mieszkaniu kolegi, który wyjechał był na wczasy w góry, a po powrocie obiecał zająć się sprawą pracy i mieszkania. Adam Norman miał do dyspozycji komfortowo wyposażony pokój z kuchnią i łazienką w nowych blokach. Przypadek sprawił, że nie tracił czasu na wędrówki po wyludnionych plażach. Piętro wyżej mieszkała dwudziestoletnia dziewczyna, która zadzwoniła do drzwi na drugi dzień, a właściwie wieczór, po jego przyjeździe.

— Czy jest pan Franciszek? — spytała zdziwiona nieco widokiem nieznanego mężczyzny w szlafroku gospodarza.

— Przykro mi, Franciszek wyjechał w góry.

— Już?

— Niestety. Jestem jego znajomym. Mieszkam tu na razie. Czy mogę pani w czymś pomóc?

— Właściwie to nie miałam żadnego interesu do Franciszka. Przyszłam po prostu pogadać — odsłoniła w uśmiechu równe, zdrowe zęby.

— Jeżeli to nie zrobi pani różnicy, to chętnie zastąpię Franka. Zresztą też się nudzę. Pogoda pod zdechłym psem. Na plaży nie ma czego szukać. Czekam na słońce i gapię się w telewizor. Proszę bardzo — zaprosił dziewczynę szerokim gestem — może pani wejście.

I dziewczyna weszła.

Wypili jedną butelkę koniaku. Potem dziewczyna przyniosła ze swego mieszkania drugą i sprawy potoczyły się błyskawicznie.

Wróciła właśnie ze sklepu.

— Chcesz piwa? — zapytała z korytarza.

— Jakie?

— Full.

— Żywiecki?

— Aha.

— Niech się trochę ochłodzi Wstaw do lodówki. Wiesz, zapowiadają poprawę pogody — powiedział, unosząc się na łokciu i sięgając po papierosy.

— To fajnie — uśmiechnęła się dziewczyna. — Byleby tylko nie skończyło się na zapowiedziach.

— W końcu to cholerne słońce musi przecież zaświecić.

Nie po to tu przyjechałem, żeby...

Nie pozwoliła mu skończyć.

— Ja jestem twoim słońcem — rzuciła się na tapczan. — Jestem czy nie? — zapytała, oderwawszy usta od mężczyzny. — No, czekam — powiedziała, usiłując nadać głodowi groźne brzmienie. — Decyduj się. Prędko...

— Nie — szybko schował się pod kołdrę.

— Co! Ach, ty! — próbowała go odkryć, wciąż powtarzając:— Nie jestem? Nie jestem?

— Nie jesteś — droczył się z dziewczyną.

Aż wreszcie dosięgnęła go i w parę minut później mówił jej wszystko, co chciała.

Po południu rzeczywiście wyjrzało słońce.

Odrzucił jej propozycję pójścia na dancing i poprowadził na długi spacer nad morzem.

Szli brodząc po kolana w wodzie i zbierając muszelki. Potem, niczym nie skrępowani, pławili się w słonej wodzie, a jeszcze później dziewczyna przyłgnęła do niego mokra i drżąca z zimna. Potoczyli się na wilgotny piasek. Raz jeszcze odkryła przed nim uroki swego ciała. Leżeli obok siebie, patrząc w wygwieżdzone niebo. Ciepła 'oda obmywała im stopy. Dziewczyna chciała doczekać świtu.

— Zostanmy tu. Pokażę ci wschodzące słońce. Zobaczysz jak o brzasku wylania się z morza.

— Przyjdziemy innym razem — odparł. — Przeziębisz się, nie mamy ciepłego ubrania.

— Nie! Proszę cię, zostanmy. Pokażę ci wschodzące słońce — znowu przyłgnęła doń całym ciałem.

Nie chciała iść. Dopiero po dłuższych targach udało mu się nakłonić ją do powrotu.

Biegli brzegiem morza. Dziewczyna często wyprzedzała mężczyznę, odwracała do niego głowę i wyciągała rękę jak

biegacz oczekujący pałeczki na zmianie.

Nie chciał już ganiać, a ona, pełna niespożytej energii, wciąż się bawiła i pokpiwała sobie z mężczyzny.

– Jesteś nie do zdarcia – zipnął po kolejnej tempówce.

Gwałtownie zmienił się wyraz jej twarzy. Powiedziała:

– Nie mów tak do mnie.

– Nie chciałem cię urazić – odparł zaskoczony. – No, nie dąsaj się – chciał ją objąć, ale usunęła się gwałtownie.

Wracali milcząc.

Na schodach powiedziała mu „żegnam” i poszła do siebie. Więcej jej nie widział.

Dwa dni z rzędu przeleżał na zatłoczonej plaży. Gapił się na smagłe ciała dziewczyn; choć sam nie ułomek, z pewną zazdrością spozierał na muskulaturę mężczyzn.

Trzeciego dnia rozgrywano na plaży konkurs na najlepszego kulturystę Wybrzeża.

Tłumy plażowiczów przyglądały się kilkunastu młodzieńcom prezentującym swe godne dobrego rzeźbiarza sylwetki. Panie wydawały głośne i przeciągłe „ochy” i „achy”. Panowie wciągali brzuchy, nie zapominając o robieniu groźnych min i napinali anemiczne mięśnie. Wydawało się, iż na parę godzin plażą zawładnęli Tytani. Później wszystko wróciło do normy. Zza plażowych kosztów najpierw wyłaniały się brzuchy, potem długo, długo nic, aż wreszcie pokazywali swe spocone twarze wczasowicze.

Tylko chłopcy zajadle trenowali, wykonując serie pompek i przysiadów. Norman oczyma wyobraźni ujrzał jeden z zimowych wieczorów, kiedy to w celi wszyscy trenowali kulturystykę. A później, obwiązawszy dłonie ręcznikami, rozgrywano zaciekle sparingi.

Parę kroków dalej szukano czwartego do brydża i Norman zgłosił swój akces.

Przed zejściem z plaży mężczyźni, z którymi grał, zaproponowali pokera w hotelu, gdzie mieszkali, odmówił jednak stanowczo.

Po drodze do domu wstąpił do restauracji i zjadł obfitą i pożywną kolację. Kiedy jednak kelner przedstawił mu rachunek, przyrzekł sobie, że noga jego więcej nie postanie w tym lokalu.

Wolno wracał do mieszkania.

Na drugie piętro pojechał windą, mimo iż musiał na nią czekać o wiele dłużej, niż wymagało dotarcie schodami. Otwierając drzwi kluczem usłyszał terkot telefonu, zanim jednak dobiegł do aparatu, ten zamilkł. Podniósł jeszcze słuchawkę, ale panowała tylko cisza. Kto to mógł dzwonić? Czyżby ona? Ale przecież nie ma telefonu. No tak, mogła zadzwonić z budki. Tylko po co miałyby dzwonić? Na pewno jakaś pomyłka, skonstatował i włączył telewizor.

Przed jedenastą poczuł się znużony i położył się spać. Znowu zadzwonił telefon. Zerwał się i chwycił słuchawkę.

— To ty, Adam? — poprzez trzaski dobiegł go daleki głos.

— Słucham, Norman przy aparacie. Kto mówi?

— Cha, cha, cha. Nie poznajesz? — Tu Fr — trzask —...

— Kto?!

— Franek — usłyszał wyraźnie.

— A, cześć! Co się stało?

— A co się miało stać? Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy żyjesz? Nie nudzisz się? Jaką masz pogodę?

— Od paru dni świeci słońce. Słuchaj...

— No?

— Co to za dziewczyna, która mieszka piętro wyżej?

— Agata?

— Właśnie.

— Bracie, to starsza kurwa niż ty lakiernik! — I po chwili: — A co, była w chacie?

— Przyszła i pytała o ciebie. Zaprosiłem ją. Była tu przez jakiś czas. Trzy dni temu poszliśmy na plażę, biegaliśmy trochę, a nawet więcej jak trochę, i miałem już tego dość...

— Nie dziwię się — powiedział wesoło Nowak.

— No i, słuchaj, powiedziałem jej, że jest nie do zderzenia, i wiesz co?

— Obraziła się.

- Skąd wiesz?
- Niektóre kurwy są nadwrażliwe. Szczególnie te młodsze. I jak się skończyło? Przeprasynami z szampanem?
- Co ty?! Od tamtej pory jej nie widziałem.
- Ale skorzystałeś z usług?
- A jakże. Gdzie ona nauczyła się tego wszystkiego?
- Ona mieszka w bloku od paru tygodni. Pomagałem jej ustawić meble. To wszystko.
- To skąd wiesz, że ona taka?
- Coo?
- Skąd wiesz, że ona taka, jak mówisz — powiedział głośniejsze.
- Paru moich znajomych mogłoby powiedzieć o niej więcej... Wydaje mi się, że ona wyobrażała sobie, że trafiła nadzianego faceta, więc warto tę znajomość wykorzystać. Nie proponowała ci czegoś w tym stylu?
- Bzdura. Chciała tylko dwa czy trzy razy pójść potańczyć.
- A widzisz! Mam nadzieję, że nie byłeś.
- Nie miałem ochoty.
- No to zgadza się. Dziewczyna się zawiodła i dlatego poszukała sobie innego. Teraz sezon, frajerów nie brakuje
- Nie chce mi się w to wierzyć — powiedział z powątpiewaniem Norman.
- Bracie, słuchaj mnie, a nie zginiesz. Znam się na tym. No, co nic nie mówisz?
- Zaskoczyłeś mnie.
- Całe życie, to jedno wielkie zaskoczenie — powiedział sentencjonalnie Nowak. — Powinieneś o tym wiedzieć. Poza tym wszystko w porządku? Jak ci się mieszka?
- Marzę o takim mieszkaniu.
- Nic się nie martw. Wszystko się załatwi. Kończę już. Cześć! Trzymaj się.
- Norman chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Nowak odłożył już słuchawkę.
- To ciekawe, rozmyślał, Agata, dziewczynką lekkiego prowadzenia. Jakoś trudno w to uwierzyć. Ale z drugiej strony Franek wie jednak chyba o niej więcej.
- Franek faktycznie wiedział więcej, o czym Norman przekonał

się podczas wizyty w pewnym lokalu, gdzie na okrągłych stolikach i słomianych matach porozwieszanych na ścianach widniały niewielkie ulotki: CHOROBY WENERYCZNE W NATARCIU.

Rozdział IX

— Proszę — powiedział porucznik Zgiet, odstawiając szklankę z kawą. — No i co? — rzucił, widząc w drzwiach sierżanta Obarskiego.

— Na razie nic. Może tylko to, że dziś zgłosił powrót z Iławy jeszcze jeden pensjonariusz.

— Kto?

— Ryszard Dolczewski, pseudonim Pelikan.

— Ach, tak. Obserwować! Zorganizuj grupę i niech nie spuszczaają z niego oka przez okrągłą dobę.

Przed czwartą po południu do pokoju, w którym urzędował porucznik, wszedł młody, wysoki i szczupły brunet, plutonowy Bączek, który na zmianę z innym plutonowym, Romańczukiem, obserwował każdy krok Pelikana.

Plutonowy Marek Bączek od niedawna pracował w komendzie miasta w Toruniu. Przedtem, zaraz po szkole, przebywał w Poznaniu, gdzie poznał swoją żonę. W trzy miesiące po ślubie otrzymał służbowe przeniesienie do Torunia i był bardzo zadowolony z tej zmiany, gdyż miasto podobało mu się niezmiernie, a poza tym mógł tu każdą wolną chwilę poświęcić wędkarstwu, które było jego drugą pasją. Żona często towarzyszyła mu w wypadach na ryby i chciałoby się powiedzieć, że połknęła haczyk; jednym słowem była to wspaniała towarzyszka. W komendzie szybko dowiedzieli się o hobby Bączka i jego eskapadach.

Porucznik rzucił okiem na podwładnego i zrozumiał, iż nie należy spodziewać się żadnych rewelacji. Twarz młodego wywiadowcy wyrażała jedynie znużenie.

Przedstawił dokładnie przebieg dnia Pelikana, wszystkie jego kontakty i poczynania.

Porucznik słuchał w milczeniu. I choć relacja rzeczywiście nie przyniosła nic specjalnego, to musiał z uznaniem przyznać, iż plutonowy jest niezwykle dokładny, skrupulatny. Porucznik cenił takich ludzi i wieszował sobie nowego pracownika.

— Dobra, Marek — powiedział. — Powinieneś trochę odpocząć. Weź, bracie, kije i skocz jutro nad wodę.

Zauważył, jak przez twarz plutonowego przemknął ledwo uchwytny uśmiech. Bączek podziękował i wyszedł.

Upłynęło jeszcze kilka minut, Zgiet dopił resztę kawy, pozamykał drzwiczki biurka i ciężko podniósł się z krzesła. Przed wyjściem z komendy wydał dyżurnemu parę dyspozycji i ruszył do domu.

Na placu Rapackiego panował o tej porze ruch niesamowity. Porucznik wraz z gromadą przechodniów zatrzymał się przed zebrami w oczekiwaniu na zielone światło.

Od strony dworca wschodniego nadjechał tramwaj i w tym momencie błysnęło zielone światło. Minęło kilkanaście sekund i czekający mogli bez przeszkód wkroczyć na jezdnię. Ktoś kłął ordynarnie, gdyż nie zdążył jeszcze zejść z pasów, gdy światło mignęło czerwienią.

Zgiet przeszedł koło aresztu śledczego i dużego gmachu, gdzie jeszcze niedawno mieściła się siedziba rektoratu UMK, potem minął Muzeum Etnograficzne, dworzec pekaesu i wszedł na wążutki „chodnik” biegnący z lewej strony rozkopanej ulicy. Upłynęło jeszcze dziesięć minut i był u siebie. Żony nie zastał. Postanowił się wykapać, a później nieco zdrzemnąć. Zatkaną wannę i puścił wodę. Po chwili przyszedł sprawdzić i zaklął pod nosem, gdyż płomień w piecyku gazowym był nikły i z kranu spływała zimna woda; przykręcił kurek i płomień podniósł się.

Telefony dzwonią oczywiście w najmniej odpowiednich momentach, więc nie należy się dziwić, że kiedy porucznik zanurzył się w letniej wodzie (bo trudno było ją nazwać ciepłą), w pokoju rozdzwonił się telefon. Tym razem przekleństwo było

głośniejsze i bardziej pikantne. Nałożył płaszcz kąpielowy i pobiegł do pokoju.

– Słucham, Zgiet – wycedził tłumiąc złość.

– Panie poruczniku – Zgiet poznał głos Romańczuka. –

Przepraszam, ale przed kilkoma minutami zaszło pewne wydarzenie, dlatego dzwonię.

– Może dowiem się wreszcie, co to za epokowe wydarzenie – huknął porucznik.

– Otóż przed kilkoma minutami Pelikan uderzył jakiegoś przechodnia – oznajmił Romańczuk.

– Gdzie jest teraz?

– Wszedł do piwiarni na Kopernika. Dzwonię z automatu. Mam oko na tę piwiarnię.

– A uderzony? – dopytywał się porucznik.

– Uderzony jest najprawdopodobniej w drugiej piwiarni na Żeglarskiej. Mówię „najprawdopodobniej”, gdyż mógł już stamtąd wyjść.

Przez krótki moment po obu stronach przewodu panowało milczenie.

– Jesteś na Kopernika? – upewnił się porucznik.

– Tak.

– Dobra. Przyślę ci radiowóz. Powiesz im, o kogo chodzi i niech go biorą na komendę. Przyjadę tam za godzinę. Tylko niech to zrobią możliwie dyskretnie.

– W porządku. Czekam – Romańczuk odwiesił słuchawkę.

Porucznik wykręcił numer komendy i poprosił o wysłanie wozu na ulicę Kopernika, gdzie czeka plutonowy Romańczuk. Potem wziął ze stołu papierosa i wszedł do łazienki. Przypalił papierosa od płomyka gazowego i usiadł w wodzie.

Nie dane mu było wykąpać się tego popołudnia. Ponownie zadzwęczał dzwonek; tym razem u drzwi.

Porucznik uśmiechnął się zaciskając zęby. Ilekroć złość tłumiała wszelkie przekleństwa, tylekroć uśmiechał się w ten właśnie sposób. Wszyscy, którzy znali Zgieta, woleli zejść mu wówczas z oczu.

– Kto tam? – ryknął, ledwo wyszedłszy z łazienki.

– Otwórz wreszcie. – Poznał głos żony. – Cholera, stoję jak

wariatka pod drzwiami z pełną siatką, bo jaśnie pan nie raczył wyjąć klucza z zamka — przywitała męża, kiedy tylko znalazła się w przedpokoju.

Zgiet nie znalazłszy odpowiedzi na takie dictum, z powrotem powędrował do łazienki. Ale woda nadawała się właściwie do wszystkiego, tylko nie do kąpieli. Podniósł więc jedną stronę korka, tak by woda nie spływała za szybko i co za tym idzie, nie zalała łazienki, jak to już niejednokrotnie bywało, po czym wytarł się, odkładając kąpiel do wieczora.

Najbliższy postój znajdował się przy dworcu autobusowym. Nie było jednak najmniejszego sensu dzwonić po taksówkę — wiedział o tym z doświadczenia.

— Co? Już wychodzisz? — zaniepokoiła się żona, widząc, iż szykuje się do wyjścia.

— Będę około ósmej. Miałem telefon. Pilna sprawa — uśmiechnął się ciepło.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, z kuchni doleciało go głębokie westchnienie.

Radiowóz zatrzymał się przy Domu Kopernika. Sierżanci Mak i Sawicki ruszyli w stronę piwiarni, którą torunianie nazywali „trumną”.

Mak znał Dolczewskiego, zresztą przed wyjazdem rzucili jeszcze okiem na jego fotografię.

Idący od strony piwiarni plutonowy Romańczuk nieznacznie skinął głową kolegom i udał się na przystanek tramwajowy.

Milicjanci zeszli po schodach do stylowej piwiarni. Gwar był tu niczym w ulu. Przy prostokątnych stołach siedzieli na długich ławach piwosze. Na widok milicjantów gwałtownie zaczęli gasić trzymane do tej pory w ukryciu papierosy. Rozmowy nieco ucichły. Sawicki został przy wejściu, Mak od razu skręcił w lewo i podszedł do bufetu. Siedząca w pobliżu stara kobieta, którą nazywali tutaj „babcią klozetową” albo „pisuardesą”, uniosła się ze swego stołka i podskoczyła do milicjanta. W tym momencie otwarły się drzwi od toalety i wytoczyło się dwóch mężczyzn; jeden był kompletnie pijany.

„Pisuardesa” krzyknęła:

— O! to ten, panie władzo. Zarzygał mi pół ubikacji i nie myśli płacić.

Sierżant ujął pijanego pod ramię, lecz ten jakby na chwilę otrzeźwiał i zaczął się szarpać. Mak znał jednak swój fach doskonale; jeden energiczny ruch i przedramię pijaczka znalazło się na jego plecach, i już szybciotko dreptał przed milicjantem. Nie doszli jeszcze do drzwi, kiedy ktoś powiedział:

— Pan go puści, panie władzo. Pijany jest. Zaprowadzimy go do chaty i będzie gites.

Obrońcą „uciśnionego” okazał się nie kto inny tylko sam Pelikan. Sierżant przystanął i kiwnął zapraszająco głową:

— Pelikan, ty też. — A ponieważ Dolczewski siedział nadal, nie wykazując najmniejszej chęci do opuszczenia lokalu w towarzystwie milicjanta, Mak krzyknął w stronę drzwi: — Lechu!

Sawicki od razu rozpoznał mężczyznę z fotografii.

— Pójdziecie z nami — rozkazał.

— A to niby dlaczego? — zaniepokoił się zagadnięty.

— Dowiesz się na komisariacie. No już! — sierżant Sawicki nie lubił wdawać się w zbędne dyskusje.

— Ale... panie sierżancie... — bąknął Pelikan.

Sierżant ujął go pod pachy i bezceremonialnie podniósł z ławy.

Po trzech minutach radiowóz jechał ulicą Nadbrzeżną. Wisłostradą sennie spacerowały grupy turystów. „Katarzynka”, łódź motorowa obsługiwana przez dwóch emerytowanych marynarzy żeglugi rzecznej, powracała właśnie z lewego brzegu Wisły, przewożąc ostatnich pasażerów. Dwóch malców kopało piłkę na parkingu obok mostu drogowego. Jeden z nich kopnął właśnie mocniej i piłka otarła się o samochód. Plutonowy Sabacki, zastępujący kaprała Brzostka, udzielił chłopcu ostrej reprimendy.

Po kilku minutach radiowóz zatrzymał się przed Izbą Wyrzeźwień. Podczas gdy sierżanci odprowadzali pijaka na nocny

wypoczynek, plutonowy Sabacki wolno zawrócił, wyłączył silnik i zapalił papierosa. Pelikan siedział z rękami na kolanach i cicho pogwizdywał. Wreszcie plutonowy kazał mu się zamknąć.

— Czego ode mnie chcecie — zapytał Pelikan.

— Sam powinienesz wiedzieć, coś przeszkrobał — odburknął kierowca.

— Niby racja, tylko że ja nie wiem.

— Nie martw się, na pewno ci powiedzą.

Na postoju taksówek przy dworcu autobusowym była długa kolejka. Porucznik Zgiet przeszedł więc skwer, zatrzymał się na przystanku tramwajowym i zaczął na dwójkę.

Po piętnastu minutach był u siebie. Upłynęło jeszcze pięć minut i wprowadzono Pelikana.

— Przyjeżdżamy dopiero teraz, bo musieliśmy odstawić jednego zalanego do izdebki — wyjaśnił sierżant Sawicki.

— Słuchaj no, Pelikan, ledwo wyszedłeś — zaczął porucznik — a już łapki zaczynają cię swędzić.

— Nie wiem, o co chodzi — odparł bezczelnie.

— Zaraz się dowiem, że nie było cię dzisiaj na Kopernika, żeś nikogo nie rąbnął w bańkę, i potem nie poszedłeś do trumny — zaśmiał się drwiąco porucznik.

— To cwelisko za... — wyrwało się Pelikanowi.

— Kto jest tym cwelem? — podchwycił porucznik Zgiet, który niejednego grypsera mógłby zapędzić w przysłowiowy kozi róg znajomością grypsery i kminy.

Pelikan wbił wzrok w biurko i milczał.

— Przypomnij sobie. Im szybciej, tym lepiej — poradził Zgiet i wyszedł z pokoju, starannie zamykając drzwi. Pelikan został sam na sam ze swymi myślami.

Porucznik przeszedł do dyżurki. Zadzwoił do domu, powiedział, że za pół godziny będzie w domu i poprosił, by żona napuściła mu do wanny gorącej wody.

— No i jak, kapralu? — rzucił siedzącemu przy centralce podoficerowi.

— W porządku, obywatelu poruczniku — odparł z uśmiechem kapral.

— Spokój?

— Jak przed burzą. — Lecz porucznik nie słyszał już odpowiedzi. Wszedł do swego pokoju i usiadł za biurkiem. Z szuflady wyjął paczkę papierosów i podsunął ją Pelikanowu, sam też zapalił. I trwało milczenie.

Kiedy Zgiet spalił jedną trzecią część papierosa, Pelikan zdążył przekroczyć połowę. Nie podnosząc głowy zapytał nieśmiało:

— Będę zatrzymany?

— To zależy od tego, czy przypomnisz sobie nazwisko pwela.

— Czesław Baumgarten — odparł po chwili przesłuchiwany.

— Skąd go znasz? Z Ławy?

— Zgadza się.

— Jak go poznałeś? — ożywił się Zgiet.

— Nie znałem go. Ludzie... to jest kumple, powiedzieli mi, kiedy pytałem o kogoś z Torunia.

— Jacy kumple?

— Siedzą jeszcze. Z innych województw. Z Torunia jest tylko Durko.

— No ale Baumgarten był już wtedy z Irkucka, nie?

— Jasne. Dlatego powiedzieli mi, że kiedyś był z Torunia.

— Kto mu to zrobił?

— Jak przyjechałem do Ławy, to było po ptokach, to znaczy...

— ... po wszystkim — wyręczył Pelikana porucznik.

Zapadło milczenie.

— Dlaczego? Dlaczego mu to zrobili?

— Kablował na okrągło — pośpieszył z wyjaśnieniem Pelikan.

— Spaśkowskiego znałeś?

— Znałem, ale nie nawijałem z nim. Mieliliśmy ścięcie... Chodziło o to, że nie od razu zacząłem grypsować — wyjaśnił Pelikan. — Rozmawialiśmy tylko raz, wtedy już grypsowałem. Ale była to pierwsza i ostatnia rozmowa, bo przedtem nie rozmawialiśmy. Wie pan, jak to jest.

— Wiem — dwa zwalczające się obozy: grypserzy i frajerzy.

— A potem, po tej pierwszej rozmowie, nie miałem ochoty na dalsze. To wszystko. Czy mogę iść? — zapytał niepewnie.

— Dobra. Możesz iść. Tylko uważaj, następnym razem może

cię to kosztować.

— Tak jest — odparł Pelikan i wyskoczył z pokoju.

Przechodził obok dyżurki, kiedy zatrzymał go kapral.

— A obywatel? — zapytał, wyciągając szyję.

— W porządku — zawołał z głębi korytarza porucznik Zgiet, wyszedł za Pelikanem. — Możecie go puścić.

Pelikan zdążył jeszcze zaszczyścić kaprała drwiącym spojzeniem, skłonił się Zgietowi, i, jakby bojąc się, iż porucznik może się rozmyślić, błyskawicznie zbiegł po schodach. Trzasnęły drzwi i kapral miał ochotę wyskoczyć za Pelikanem i wygłosić mowę na temat prawidłowego zamykania drzwi, jednak machnął tylko ręką i dał spokój.

Radiowóz stał przed komendą i plutonowy Sabacki odwiózł porucznika do domu, gdzie czekała nań upragniona kąpiel.

— No, już jestem. Co z wodą?

— Przed chwilą zakręciłam kurek — odpowiedziała żona.

— Jesteś niezastąpiona.

— Chyba nie dlatego, że przygotowałam kąpiel?

— Dlatego że przygotowałeś kolację. A propos, przygotowałaś?

— Wynos się w końcu do łazienki. Masz podejrzenie dobrego humor. Dostałeś awans?

— Ty jesteś moim największym awansem — powiedział już z łazienki.

Siedząc w wannie, analizował przesłuchanie Dolczewskiego i wyrzucał sobie, iż nie zadał mu pewnego prostego pytania. No, ale to jeszcze ustalimy, pomyślał. W każdym razie trzeba pojutrze skoczyć do Iławy. Wstał, wytarł się dokładnie i nałożył piżamę.

Kolacja była już gotowa. Zabrał się do kanapek, a kiedy żona spytała, czy życzy sobie czegoś jeszcze, odparł, chcąc jej sprawić przyjemność, iż zjadłby jeszcze omlet. Anna była wyraźnie ucieszona.

Po kolacji włączył telewizor i poszedł umyć wannę. Wrócił do pokoju, wziął książkę i położył się na wersalce — próbował

czytać.

Myśli wracały jednak uparcie do sprawy, którą kierował.

Powoli, bardzo wolno rysował się cały obraz. Wydawało się, że tło już jest, brakuje tylko dwóch elementów i porucznik wiedział, że bez nich nie zrobi obrazu. Wreszcie zdrzemnął się zmęczony. Obudził się koło północy; w telewizji szedł jakiś program rozrywkowy. Anna spała. Wyłączył telewizor i znowu zasnął. Tym razem na dobre.

Padła deszcz.

Plutonowy Romańczuk wstał przed szóstą. Nie znalazł żadnego papierosa, a ponieważ głód tytoniu, zwłaszcza rano, dawał mu się mocno we znaki, ubrał się i poszedł do kiosku.

Wracając, zadzwonił do Jolki i umówił się z dziewczyną na czwartą.

Spotkali się w tej samej kawiarni, co poprzednio.

W czasie parugodzinnej rozmowy „dowiedział się”, iż Spaśkowski „ma” na imię Roman. Redaczkówna powiedziała także, iż chodzili z sobą przez dwa tygodnie.

— Był apodyktyczny — mówiła — i jakiś inny niż wszyscy. Właściwie nie mogę powiedzieć, bym go znała. To było przed trzema laty. W miesiąc po zerwaniu dowiedziałam się, zupełnie przypadkowo zresztą, że siedzi. Dostałam od niego dwa czy trzy listy — kontynuowała. — Chciał, abym go odwiedziła. Pomyślałam, że właściwie mogłabym pojechać na widzenie; byłam po prostu ciekawa, jak tam wygląda. Nie doszło jednak do wyjazdu. Nie pamiętam już z jakiego powodu. Być może przeszkodził mi nawał zajęć, byłam wtedy na pierwszym roku, a wiadomo, że pierwszy rok jest najtrudniejszy; ale nie wykluczam inne. przyczyny; po prostu nie pamiętam.

— Nie napisał więcej?

— Chyba nie. Nie, nie przypominam sobie. Zresztą wtedy już mnie nie interesował. Ale dajmy już temu spokój co? Nie chcę już o tym mówić. To było dawno i wracanie do tamtego czasu nie jest wcale takie miłe.

— Jest przykre?

— Nie, skąd. Tak naprawdę niewiele dla mnie znaczył. Początkowo traktowałam go trochę na takiej zasadzie, na jakiej traktuje się jakieś egzotyczne zwierzę. Potem wszystko między nami straciło sens. Zupełnie — podkreśliła z mocą.

— Więc nie mówmy już o nim... Słyszałaś ten dowcip o dźwigu? Otóż...

Zbliżał się wieczór. Wiatr zmienił kierunek. Deszcz bębnił o szyby kawiarni.

Rozdział X

Porucznik Zgiet omawiał właśnie ze współpracownikami dalsze posunięcia, które miały doprowadzić do wykrycia mordercy, kiedy ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

— Kogo tam znowu niesie — mruknął Zgiet pod nosem a głośno powiedział: — Wejść!

— Nadszedł telefonogram z Sopotu — zakomunikować dyżurny podoficer.

— No i co?

— Dotyczy zatrzymania Adama Normana.

— Co?! I dopiero o tym mówicie? — porucznik zerwał się z krzesła. — Nie, no ja oszaleję... Idziemy!

Okazało się, że Norman został zatrzymany na sopockiej plaży podczas próby kradzieży magnetofonu.

— Rysiek, zbieraj się, pojedziesz do Sopotu — oznajmił porucznik po powrocie do gabinetu.

— Sierżant Obarski z komendy miasta w Toruniu — przedstawił się na dyżurce komendy w Sopocie.

— Dobrze, że jesteście. Czekaliśmy na was, sierzancie.

— Co z Normanem?

— Siedzi na dole. Co to za jeden?

Sierżant pokrótce nakreślił „życiorys” Normana.

— Niewiele odbiega od naszych wyobrażeń — zauważył kapitan Kostrzewiński. — Przyprowadzić go — zwrócił się do

jednego z siedzących w dyżurce milicjantów.

Po chwili Norman był sam na sam z sierżantem Obar- skim.

— Szukaliśmy was, Norman.

Przesłuchiwany wytrzeszczył oczy.

— Kiedy wyjechaliście z Torunia?

— Na początku lipca — odpowiedział ze zdziwieniem.

— Dokładnie.

— Czwartego. Czwartego lipca. Po południu.

— Kiedy byliście w Sopocie?

— Też czwartego. Tyle że w nocy. Wieczorem, po ósmej.

— Kto może to potwierdzić?

— Chyba mam jeszcze gdzieś bilet. Poza tym potwierdzi to mój znajomy, Franciszek Nowak.

— Kto to jest?

— Powiedziałem: znajomy. Poznaliśmy się w wojsku. Służyliśmy razem w Gdańsku. Zresztą Nowak, o ile to pana interesuje, mieszkał kilka lat temu w Toruniu. Jego rodzice nadal tam mieszkają.

— Gdzie jest teraz ten Nowak?

— Na szczęście przyjechał już z urlopu. Powinien być w domu.

— A wy, po co przyjechaliście do Sopotu? No, właściwie nie musicie odpowiadać. O waszym występie na plaży już wiem.

Norman opuścił głowę.

— Przyjechałem tutaj — powiedział po pewnym czasie — ponieważ Franek, to jest Nowak, obiecał załatwić mi pracę i mieszkanie.

— Kiedy widzieliście się ze Spańkowskim?

— Z Romanem?! — powiedział w najwyższym zdumieniu.

— Właśnie.

— W Ławie, oczywiście.

— Pytam kiedy, a nie gdzie.

— No więc przed wyjściem. W lutym.

— A potem?

— Jak to? Przecież siedzi.

Sierżant przyjrzał się uważnie przesłuchiwanemu. Czyżby rzeczywiście o niczym nie wiedział? Czyżby nie wiedział nawet,

kiedy Spaškowski wychodzi na wolność? Sierżant powiedział:

— Norman, byliście współnikiem Spaškowskiego i nie wiecie, że wasz współnik wyszedł na wolność piątego lipca?

— Jak pragnę Boga nie wiedziałem. Chociaż... chyba... tak! No, tak. Faktycznie miał wyjść mniej więcej w tym czasie.

— Spaškowski został zamordowany — powiedział wolno sierżant, patrząc z napięciem na przesłuchiwanego. Krew odpłynęła z twarzy Normana. Z otwartych ust nie wyszedł żaden dźwięk. — Co możecie o tym powiedzieć?

— Ale — Norman uniósł ramiona i rozłożył ręce — ale czemu ja właśnie miałbym coś o tym powiedzieć? Dlaczego ja? Co ja mam z tym wspólnego?

— Byliście współnikiem Spaškowskiego?

— Zgadza się, ale nie ja jeden.

— Szymański i Durko zostali już przesłuchani. Czy wy — podkreślił „wy” spojrzeniem — także sądziliście, że Spaškowski was wykiwał, że ukrył część zrabowanych rzeczy?

— No, tak — odparł. — Aha... i pan myśli, że to ja go rąbnąłem — Norman odprężył się. — Tylko po co? Gdybym chciał skorzystać z tego towaru, który Spaškowski schował... zresztą to nie jest takie pewne, chociaż rzeczywiście przypuszczaliśmy, że gwizdnął, pan o tym wie...

— Wiem — przytaknął sierżant.

— No, właśnie. Więc gdybym chciał dojść do tego, gdzie ma ten towar, to starałbym się przyfilować Romana! Dobre sobie — pokręcił głową. — Zabiłem go. Co jeszcze?

— Słuchajcie no, morderca nadal jest na wolności. Może nim być każdy. Wy też. A jeżeli ten wasz Nowak, i nie tylko on, nie potwierdzi tego, że przyjechaliście do Sopotu czwartego, to możecie mi wierzyć, że jeszcze się spotkamy.

— O to jestem spokojny. Czy mógłbym prosić o papierosa?

Sierżant podał paczkę i Norman zapalił.

— A teraz adres tego Nowaka. I jeszcze jedno: dlaczego powiedzieliście Mrozowi, że macie jakieś kłopoty z dziewczyną. Co to za dziewczyna? Jeżeli w ogóle jest? Przecież wy, Norman, jesteście samotnik, nie.

— Zgadł pan. Nie ma żadnej dziewczyny.

— Więc po co opowiadaliście tę bajeczkę Mrozowi? Żeby go wpuścić w maliny, dlaczego?

— Nie chciałem po prostu, by ktokolwiek wiedział, dokąd jadę. Nie chciałem — powtórzył ze zdenerwowaniem i zaczął wiercić się na krześle. — Czy mógłby pan dać mi jeszcze jednego papierosa? Palić się chce jak cholera.

— Weźcie — sierżant po raz drugi podsunął przesłuchawanemu paczkę sportów. — A dlaczego nie chcieliście, by ktoś wiedział, dokąd wyjeżdżacie?

— Miałem już dość Torunia...

— Trzeba więc było wracać do Budzowa, jak chciał wasz ojciec — wtrącił Obarski.

Norman spojrział na niego wzrokiem, w którym zdziwienie walczyło z zainteresowaniem. Powiedział:

— Więc i o tym już pan wie... No, tak — westchnął. — Ale wracając: miałem dość już tego miasta, tych wszystkich Szymków i jemu podobnych. Chciałem tu zacząć od nowa.

— Początek znakomity — zakpił sierżant.

— To nie było tak, jak oni panu powiedzieli.

— Zawsze jest nie tak. Aha, czy Spaśkowski miał jakichś wrogów? Czy obawiał się czegoś lub kogoś? Czy miał z kimś jakieś zadawnione porachunki?

— Nic o tym nie wiem — padła lakoniczna odpowiedź.

W dwie godziny później sierżant Obarski wychodził z bloku, w którym mieszkał Franciszek Nowak.

W torbie Normana sierżant znalazł bilet kolejowy do Sopotu z datą wyjazdu z Torunia: czwarty lipca. Nowak potwierdził słowa Normana. Dozorca bloku, którego sierżant spotkał na klatce schodowej idąc do mieszkania Nowaka, także zapamiętał dzień przyjazdu Normana.

Adam Norman miał więc niezbite alibi.

Sierżant Obarski zamyślony i nie wyspany wracał do Torunia.

Rozdział XI

Z samego rana w poniedziałek porucznik Zgiet pojechał do Hawy. Przejrzał akta Czesława Baumgartena, w których znalazł adnotację dotyczącą przecwielania. Przesłuchał również dwóch więźniów, którzy potwierdzili zeznania Pelikana. Właśnie — tylko potwierdzili. Żaden nie chciał powiedzieć więcej, nie chciał udzielić obszerniejszych informacji. I porucznik wiedział, że powód jest jeden, a na imię mu — strach. Strach kazący przesłuchiwanym kręcić, migać się, bądź zupełnie milczeć.

Po trzygodzinnym przesłuchaniu Zgiet miał jednak owe brakujące elementy tak potrzebne do pełni obrazu.

Jeszcze tego samego dnia sierżant Obarski udał się na ulicę Truskawkową, gdzie mieszkał Czesław Baumgarten.

W małym ogródku przed domkiem sierżant natknął się na starszą kobietę, pochyloną nad grządką warzyw.

— Dzień dobry. Czy tu mieszka Baumgarten?

Kobieta spojrzała na podoficera zaskoczona, dopiero po chwili powiedziała:

— Ależ mnie pan przestraszył. — Podniosła się znad grządki.

— Tak, mieszka. A o co chodzi?

— Chciałbym z nim porozmawiać.

— To źle pan trafił — uśmiechnęła się, wycierając ręce o nogawki starych spodni.

— Czyżby był nieobecny? — zaniepokoił się sierżant.

— Wyjechał wczoraj. Na urlop.

— Nie wie pani dokąd?

— Chyba na Mazury. Ale dokładnie panu nie powiem, Nie mówił mi.

— Kiedy wróci, też pani nie wie?

— Nie. A stało się coś, że pan tak wypytuje?

— Jestem z milicji — sierżant wyjął legitymację. Kobieta

wystraszyła się nie na żarty. — Niech pani mi powie trochę o Baumgartenie. Wynajmuje u pani pokój, prawda?

— Tak — wystękała.

— Regularnie płaci?

— Wie pan, jak to młodzi; nieraz płaci parę dni później — odzyskała kontenans, słysząc o pieniądzach — ale przeważnie przynosi wtedy czekoladę albo ćwiartkę, tak że nie mogę nic złego powiedzieć. A przeszkrobał coś? — rzekła, nachylając się do sierżanta.

— Chciałem tylko porozmawiać. Przychodzi ktoś do niego?

— Przychodzą różni. Ale czy pan myśli, że człowiek spamięta. Ot, mignie jakaś twarz i tyle. Zresztą to mnie nie obchodzi. Ważne, aby nie robił awantur. Spokojny jest. Jak wróci po kielichu, zaraz kładzie się spać i nikt o niczym nie wie.

— Zauważyła pani może, czy w ciągu dwóch ostatnich tygodni nie przyszedł na noc, albo wrócił później?

— On pracuje w „Polchemie”, na trzy zmiany. Więc jeżeli przyjdzie koło dwunastej, to nie ma się czemu dziwić, tak że wie pan. No, co tu dużo gadać, młody jest, to i potrzebuje.

— Gdyby przyjechał, proszę nas zawiadomić — powiedział na pożegnanie sierżant.

— Powiadomię, a jakże powiadomię...

Niech to szlag trafi, podsumował wizytę sierżant. Wszystkich gdzieś diabli noszą. Nie pozostaje nic innego, jak jechać do tego „Polchemu”.

Tramwajem dotarł do Toruńskiej Przędzalni Czesankowej, gdzie kończyła się linia; resztę drogi przebył pieszo.

Tym razem Obarskiemu dopisało szczęście, albowiem trafił na brygadę Baumgartena.

Jeden z jego kolegów poinformował sierżanta, że Baumgarten wybierał się do Giżycka. Urlop wziął trzy dni temu. Obarski zadał przesłuchiwanemu jeszcze kilka pytań, po czym złapał taksówkę i od razu pojechał do porucznika Zgieta.

W dwie godziny później fiat z komendy miasta z kapralem Brzostkiem przy kierownicy i sierżantem Obarskim obok

mknął na Mazury. Starszy sierżant Latawiec spał na tylnym siedzeniu.

W tym czasie plutonowy Romańczuk przesłuchiwał znajomych i przyjaciół Baumgartena.

Koło trzeciej nad ranem wjechali do Mrągowa. Przed dworcem autobusowym stał drogowskaz, a napis na jednej z tablic głosił, iż do Mikołajek jest dwadzieścia cztery kilometry. Tylko tyle. Kilka minut drogi i mógłbym zobaczyć się z Beatą, myślał sierżant. Fiat skręcił jednak w kierunku przeciwnym. Przelecieli przez śpiące miasteczko. Znowu minęli jakieś skrzyżowanie. Do Giżycka zostało jeszcze czterdzieści kilometrów. Przed czwartą byli na miejscu.

W komendzie przedstawił cel swej wizyty zaspanemu sierżantowi, który poradził im przespać się trochę. Skwapliwie z tej rady skorzystali.

O ósmej przyszedł komendant major Wilczyński, i sierżant Obarski po raz wtóry wyłuszczył powód przyjazdu. Major okazał się człowiekiem bardzo rzutkim i energicznym. Natychmiast zmobilizował kilku milicjantów do poszukiwań Baumgartena.

Sierżant Obarski i towarzyszący mu starszy sierżant Latawiec udali się do biura meldunkowego. Obarski liczył na to, że Baumgarten ma w Giżycku rodzinę, u której się zatrzymał.

W urzędzie znaleźli adresy trzech Baumgartenów. Wyszli z nadzieją, iż jeden okaże się tym, do którego przyjechał poszukiwany.

Po kwadransie dzwoniли do drzwi, na których widniała wizytówka: Alina i Lech Baumgartenowie. Drzwi otwarła siwowłosa staruszka.

— Czy przebywa tu Czesław Baumgarten? — zapytał sierżant.

Staruszka przymknęła jedno oko, nad drugim unosząc jednocześnie nastroszoną brew.

— Kto taki?

Sierżant powtórzył.

— Nie znam — odrzekła bez wahania.

Obarski wyjął legitymację, by rozwiać niepotrzebne obawy staruszki, która najwyraźniej miała obu funkcjonariuszy za niebieskich ptaków.

— Rozumiem. Panowie szukają tego pana, ale ja nie znam żadnego Czesława o tym nazwisku.

— Czy pani jest sama?

— Tak. Syn i synowa poszli do pracy.

— Chcielibyśmy prosić o numer telefonu do pracy syna.

Lech Baumgarten również nie znał żadnego Czesława.

Pod drugim adresem nie zastali nikogo. Pukali jednak i dzwoniли tak długo, aż z sąsiedniego mieszkania wyszedł kilkunastoletni chłopak i powiedział, że sąsiedzi wyjechali przed paroma dniami na urlop. Na wszelki wypadek sierżant zapytał chłopaka, czy widział tutaj tego — wyjął fotografię — mężczyznę. Zagadnięty przyjrzał się zdjęciu z uwagą i stanowczo zaprzeczył.

Zrezygnowani poszli sprawdzić trzeci adres.

— Czesław Baumgarten? Znam, to syn mego brata — odparł mężczyzna. — Mieszka w Elku.

— W Elku?

— Tak. To pana dziwi?

— Czy to ten? — sierżant znowu sięgnął po zdjęcie.

— Nie. Z całą pewnością nie. Ten jest zupełnie niepodobny — mężczyzna zwrócił zdjęcie. — Zresztą wydaje mi się starszy, a Czesiek ma szesnaście lat. Jest uczniem technikum kolejowego.

— No cóż, dziękujemy panu.

— Proszę bardzo. Nie ma za co.

W milczeniu wyszli na podwórze.

— Nie mamy fartu, co? — rzucił podenerwowany starszy sierżant Latawiec.

— Ano nie mamy.

Milicjanci szukający Baumgartena w ośrodkach wczasowych i hotelach również wrócili z niczym. Zostało jeszcze kilka pól namiotowych i kilkadziesiąt kwater prywatnych.

Jedenastu milicjantów, w tym trzech z Torunia, nie ustawało w poszukiwaniach. Późną nocą sprawdzili ostatnią kwaterę, lecz i tu nie było Czesława Baumgartena.

Sierżant kłął na czym świat stoi. Kapral Brzostek nie miał już siły nawet kłać.

— Może w ogóle nie przyjechał do Giżycka? — podzielił się wątpliwościami sierżant Latawiec. — Kto wie, czy celowo nie naopowiadał wszystkim, że wyjeżdża na Mazury, by zmylić trop?

— Jeżeli tak, to hipoteza Zgieta znalazłaby potwierdzenie — zauważył Obarski. — Poczekajmy jeszcze na innych, może go gdzieś znaleźli.

W chwilę po powrocie do komendy otrzymali wiadomość, że wszystkie pola namiotowe, jak również ośrodki wypoczynkowe w pobliskich wsiach zostały sprawdzone. O poszukiwanym nikt nie słyszał.

— A może zatrzymał się u jakiegoś kumpla? — powiedział sierżant.

— Diabli wiedzą. W każdym razie odwaliliśmy kawał roboty — rzekł Brzostek — a ptaszka jak nie było, tak nie ma.

Kompletnie wyczerpani położyli się spać.

Sierżantowi Obarskiemu śniło się, że goni Baumgartena. Już, już ma go schwytać, kiedy nagle ścigany znika, rozplywa się w powietrzu i dłoń sierżanta trafia na pustkę.

Rozdział XII

Z wielkim trudem udało mu się znaleźć miejsce w zapchanym po brzegi wagonie.

Ściskany zewsząd przez wszystkich i sam przyczyniający się do ścisku, szczególnie z uwagi na dużych rozmiarów plecak, dotarł w południe do Olsztyna.

Zarzucił plecak na barki i z pochyloną głową zszedł do niechlujnego tunelu, na początku którego tłum podróżnych podzielił się na dwa nurty. Jeden parł do miasta, drugi do kas biletowych i toalet; dał się nieść temu ostatniemu. W drzwiach do przestronnego hallu minął się z jakimś mężczyzną i wydało mu się, iż zna skądś tę twarz. Tylko skąd, tylko skąd? — szukał gorączkowo w myślach. Ależ tak, wykrzyknął niemalże, to

musiał być ktoś, kogo spotkałem w Hławie. Uzmysłowiwszy sobie, co by było, gdyby mężczyzna go rozpoznał — przeraził się. Co będzie, kiedy natknę się na któregoś z nich? — myśl ta zaprzątnęła jego uwagę.

Po dłuższej chwili udało mu się przekonać samego siebie, że jest to prawie niemożliwe, by ktoś go rozpoznał. Za żadne skarby świata nie chciał, aby ktokolwiek przypomniał mu tamten czas.

Środek przestronnej hali dworcowej wyznaczała zwisająca z sufitu szklana gabłota z rozkładem jazdy. Przeszedł pod nią na drugą stronę, gdzie podane były godziny odjazdów. Sprawdził czas odjazdu z zegarkiem. Zostało mu jeszcze około godziny. Zawrócił i wszedł na piętro, gdzie mieścił się bufet. Pochylił się nad szklanką napoju firmowego i strzelając oczyma na boki, uważnie śledził klientelę.

Odstawił w końcu pustą szklankę i, ponieważ obowiązywał na sali zakaz palenia, zszedł na parter. Kupił gazetę i sporty i powędrował na peron.

Plecak rzucił z tyłu kiosku obleganego przez podróżnych żłaknionych napojów, i usiadł, zatopiwszy się w lekturze.

Prognoza meteorologiczna na najbliższy tydzień była pomyślna. Zapowiadano słońce i wysoką temperaturę. Opalę się, pomyślał.

Pociąg podstawiono wcześniej i udało mu się znaleźć miejsce w przedziale zajęтым już przez trzech mężczyzn w sile wieku i dwoje staruszków. Pociąg ruszył zgodnie z planem. Ponownie przyjrzał się mężczyznom grającym w tysiąca. Ich twarze, pełne skupienia, wyrażały jedno: wygrać! Ręce z namaszczeniem brały karty. Kciuki i palce niemal rytualnie odsłaniały prostokątne kawałki kartonu.

Grali o pieniądze.

Odchylił głowę na miękką poduszkę. Na wprost wisiało zdjęcie klasztoru w Św. Lipce. Był tam kiedyś z wycieczką. Mignął mu obraz sprzed kilku lat: grupa roześmianej młodzieży stojąca w słońcu przed portalem. Gdzie jest tamten radosny czas? — pomyślał.

Karciarze wysiedli, ich miejsce zajęło troje młodych ludzi.

Śmiali się bez przerwy jakimś irytującym śmiechem. Dwoje starszków zapamiętale cmokało cukierki. Na przedostatniej stacji wyniósł się z przedziału.

Z dworca ruszył od razu do miasta, by zaopatrzyć się w sprzęt wędkarski, którego w Toruniu nie sposób było kupić. Tu zaopatrzył się we wszystko oprócz wędzisk, które miały nadejść w poniedziałek. Pomyślał, że ostatecznie może sobie pozwolić na taksówkę, a ponieważ akurat nadjechała, zatrzymał ją; wsiadł do starej, mocno już podniszczonej warszawy, gdy naraz jakaś kobieta, idąca z naprzeciwka, zaczęła wymachiwać ręką i przyspieszyła kroku, by w końcu dysząc zapytać, dokąd jedzie, bo jeśli... Odparł że do diabła, trzasnął drzwiczkami i wóz ruszył.

Wilkasy.

Ostatnio był tu przed czterema laty, na krótko przed arestowaniem.

Wysiadł przed schludnym domkiem wujostwa. Nie poznali go, a kiedy się przedstawił, nie mogli uwierzyć, że tak wyrósł i zmężniał. Przyjęli go bardzo serdecznie, czym był trochę zdziwiony. Najbardziej jednak cieszył się syn Gontorów; ośmioletni Jaś, który upatrywał w Baumgartenie towarzysza wypraw nad jezioro, dokąd rodzice, mając jeszcze w pamięci utonięcie córki sąsiadów, surowo zakazali mu chodzić samemu.

Tego wieczoru Baumgarten odetchnął pełną piersią.

Nazajutrz wkradł się niepokój. Czy wszystko zostawiłem w należyтым porządku, czy o niczym nie zapomniałem? — zastanawiał się głęboko i usiłował jednocześnie zrekonstruować, godzina po godzinie, dzień wyjazdu z Torunia, a także przygotowania do samego wyjazdu. W końcu nie znalazł niczego, co mogłoby go zaniepokoić.

O dziesiątej wszyscy poszli do kościoła. A po mszy Baumgarten z wujem odwiedzili restaurację. Gontorowa musiała pofatygować się do nich osobiście, gdyż najwyraźniej zapomnieli o czekającym obiedzie.

Wieczorem niepokój Baumgartena powrócił. By się uspokoić, napisał do gospodyni, u której wynajmował pokój.

Wszedł do sklepu, w którym, wedle zapewnień ekspedientki, miały być dziś kije. Okazało się jednak, że dostawy jeszcze nie było.

— Niech się pan nie martwi, wędziska będą. Przed godziną miałam telefon z hurtowni. Proszę przyjść za jakieś dwie godziny.

Poszedł na pocztę i nadał ekspresem list do Torunia. Potem w kawiarni wypił dwie butelki piwa i udał się na spacer po mieście.

Barwny tłum pałętał się bez celu po chodnikach. Właściciele saturatorów zacierali ręce. Nad ulicą śmigały w słońcu dwie mewy, przyciągając wzrok niektórych wczasowiczów. Pijany mężczyzna spał na tarasie kawiarni, złożony głowę na metalowym stoliku, ocienionym czerwonym parasolem, spod którego strzelały w niebo dwa zardzewiałe druty. Grupa sportowców w granatowych dresach z białymi lampasami zmierzała w kierunku plaży. Na niebie nie było żadnej chmurki. Wiał lekki wiatr, przyjemnie chłodząc rozgrzane ciała.

Baumgarten ponownie zawitał do sklepu i tym razem wyszedł z bambusowymi kijami. No, teraz dam tym rybom popalić, pomyślał wesoło.

Rozdział XIII

Wstali o dziesiątej.

Zjedli pożywne śniadanie i podziękowawszy majorowi Wilczyńskiemu za pomoc, ruszyli w drogę powrotną.

— Zatrzymaj się chwilę. Kupię papierosy — powiedział sierżant, kiedy przejeżdżali obok kiosku „Ruchu”.

Obarski kupił dwie paczki sportów i „Gazetę Olsztyńską”, wsiadł do wozu i od razu zaczął przerzucać strony. Kapral Brzostek spojrzął na towarzysza z ukosa, powstrzymał się jednak od komentarzy.

Byli już jakieś dwa czy trzy kilometry za miastem, gdy Obarski nagle krzyknął:

— Stop! Zatrzymaj!

Kapral spojrzał na sierżanta z niepokojem.

— Zobacz — Obarski podał gazetę do tyłu, ale Latawiec nie odebrał jej — znowu spał. Obarski kiwnął tylko ręką. Fiat jechał dalej.

— Stój, u diabła! Czyżbyś był głuchy?

— Ale co się stało? — twarz kaprala Brzostka stężała.

— Zatrzymaj, mówię.

Wóz zjechał na pobocze i stanął.

— Co się stało? — powtórzył zniecierpliwiony kierowca.

— Patrz — sierżant podał gazetę. — Tutaj — wskazał palcem rubrykę wypadków.

Kapral czytał: „W Giżycku na ulicy Wojska Polskiego samochód osobowy marki moskwicz potracił wczoraj 25-letniego turystę z Torunia, Czesława B. Mężczyznę, który doznał złamania lewej nogi i ogólnych potłuczeń, przewieziono do szpitala miejskiego”.

Kapral odrzucił gazetę i samochód z piskiem opon zakręcił gwałtownie.

— To się nazywa mieć szczęście — westchnął kapral.

Znowu wjeżdżali na ulice Giżycka.

W kilka minut potem sierżant Obarski pędzi na oddział chirurgiczny.

— Nooo, nie ma powodów do obaw — mówił lekarz dyżurny.

— Normalne złamanie. Gips założono wczoraj. Poza tym parę niegroźnych zadrapań. Jutro może go pan zabrać.

— Chciałbym tylko prosić, żeby nikt nie wiedział o mojej wizycie — powiedział sierżant.

— Oczywiście. Może pan być spokojny — zapewnił lekarz.

Sierżant wolno zszedł do oczekujących przy wozie milicjantów.

— ???

— W porządku. Jutro odbiór i do domciu. Na razie wracamy do majora Wilczyńskiego.

Kiedy na powrót znaleźli się w komendzie, sierżant zadzwonił do porucznika Zgieta i opowiedział, co zaszło. Potem zadzwonił do Mikołajek. Beaty nie było w domu. Poprosił więc

jej ciotkę, by przekazała dziewczynie, iż jest w Giżycku i że na nią czeka.

— Takiemu to dobrze — podsumował melancholijnie kapral Brzostek. — Żeby chociaż pogoda była, skoczyłby człowiek na plażę.

— Pogoda jest zawsze.

— No, no, ty. Ciekawe co powiesz, jak ona nie przyjedzie.

— Przyjedzie.

I rzeczywiście: o siedemnastej z minutami Beata przyjechała.

Baumgartena udało się odebrać dopiero po jedenastej, po czym natychmiast odjechali.

W Mrągowie wysadzili Beatę na dworcu autobusowym i już bez żadnych postojów pędzili do Torunia.

Kiedy zabierali poszukiwanego ze szpitala, ten zrazu wybałuszył oczy, a następnie wykrztusił zdławionym głosem:

— Panowie, ale o co chodzi?

Milicjanci nie wdawali się w żadne rozmowy, ograniczając się jedynie do stwierdzenia:

— Na wszystko przyjdzie czas.

W czasie podróży do Mrągowa Baumgarten nie powiedział ani słowa. Być może krępowała go obecność Beaty, Teza ta znalazła potwierdzenie, gdy dziewczyna wysiadła, aby przesiąść się do autobusu i wrócić do Mikołajek.

Teraz odezwał się znowu.

— Przecież chyba mogę wiedzieć, dlaczego jestem aresztowany?

— Nie jesteście na razie aresztowani.

— Więc czemu zabraliście mnie ze szpitala?

— Wszystkiego dowiecie się w Toruniu — uciął sierżant.

Porucznik Zgiet z niecierpliwością oczekiwał przyjazdu fiata.

Wszedł plutonowy Romańczuk i przedstawił wyniki przesłuchań znajomych Baumgartena, Niestety nie było w nich nic, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki.

— Niech to cholera weźmie — rzekł wysłuchawszy relacji plutonowego.

Kiedy powracający z Mazur milicyjny fiat wjeżdżał na ulice Torunia, w nowym domu na Wrzosach, gdzie mieszkał Pelikan, trwały przygotowania do prywatki, którą organizował, by uczcić swój powrót z więzienia.

Dzień był dogodny, ponieważ ojciec Pelikana, Waclaw Dolczewski, wyjechał był na kilka dni do swojej starszej siostry, która w jednej z pobliskich wsi prowadziła niewielką fermę kur.

W domu, nie licząc lokatorów — starej samotnej kobiety i młodego małżeństwa — zajmujących trzy pokoje w suterenie, została jedynie siedemdziesięcioletnia babka Pelikana.

W przygotowaniach pomagali Szeryf, Lolita — mająca za sobą trzy lata więzienia w Fordonie za pomoc w napadzie rabunkowym — i Janka. Pelikan z Szeryfem przynieśli z pobliskiego samu dziesięć litrów wódki, trzy skrzynki piwa i kilka butelek wina i szampana. Następnie zabrali do miasta dziewczyny, które miały kupić niezbędne artykuły, a sami pojechali do znajomego rzeźnika po mięso i wędlinę.

Umówili się z dziewczynami przed pocztą główną, lecz kiedy przybyli na miejsce, spóźnieni piętnaście minut, dziewczyn nie było. Pojechali więc do domu.

Skracając sobie oczekiwanie, popijali wódeczkę.

— Gdzieście były, do kurwy nędzy? — powitał je Szeryf po godzinie, w czasie której zdążyli z Pelikanem opróżnić butelkę wódki i parę piw.

— To my byśmy chciały wiedzieć, dlaczego nie czekaliście? — odcięła się Lolita. — Myślisz, że to taka piękna sprawa jechać z pełnymi torbami zatłoczonym autobusem.

— Nie gadaj tyle, tylko bierz się do roboty. No, Janka, ty też. Dalej!

— Strzelcie sobie dziewczyny po jednym — Pelikan nalał wódki do kieliszków. — I postarajcie się żeby zarcie było super extra ekskluzywne.

Dziewczyny wzięły się z ochotą do gotowania i smażenia, od czasu do czasu tylko robiąc sobie krótkie przerwy dla kurażu.

O siódmej wieczorem wszystko było już przygotowane.

Pierwszy przyszedł Zdzych Stocki.

— Siemacie! — krzyknął od progu. — Co? Jestem pierwszy. To dobrze. Nie lubię się spóźniać... Ale, ale cóż to za smakowite zapachy czuje mój kinol? — demonstracyjnie wciągnął powietrze i uśmiechnął się błogo.

— Ty, gdzie masz Bachę — spytała podpita już Janka.

— A co to, ślub z nią brałem? — Przyklepie później. Przyniosłem — sięgnął do kieszeni marynarki — dwie taśmy z nagraniami. Jeden mój koleżka nagrał je przedwczoraj z radia. Z Luxemburga. Podobno bezbłędne — podał krążki Pelikanowi.

— Gites, przydadzą się. Szeryf też przyniósł parę nagrań.

— Jakaś taksa zajechała! — wykrzyknęła Lolita.

Z taksówki wysiadła Ruda Mary, dwukrotna rozwódka, a za nią Szymek i Stefan Celman.

— O, cześć wam — powitała wszystkich Ruda Mary i ciężko usiadła na krześle; podobnie jak Stefan, była lekko pijana. — O, to już wszyscy?

— Kto już jest? — Szymek rozejrzał się po pokoju. — Nie widzę Bachy, Kajtka i Pędzla. Tak? Chyba że miał przyjść jeszcze ktoś.

— Nie, tylko oni. Ale nie będziemy za nimi czekać, nie? — poinformował się Szeryf.

— No jasne. Gołda stygnie — powiedział Pelikan.

Usiedli, gdzie kto chciał. Pelikan włączył dwie małe lampki z pomarańczowymi abażurami i podkręcił magnetofon. Szymek rozlał alkohol.

— Zdrowie Pelikana. Za jego powrót — wzniosł toast, który wszyscy spełnili do dna.

— Zatańczymy, Mary? — zaproponował Pelikan i nie czekając, aż dziewczyna wstanie, wziął ją za rękę i pociągnął na środek pokoju. — A wy, na co czekacie? — zwrócił się do pozostałych. — Później nie będzie na to czasu — zaśmiał się głośno.

Stefan poprosił Jankę, a Szeryf skłonił się szarmancko przed Lolitą.

Tańczyli początkowo każdy z każdą, tuląc do siebie dziewczyny. Szymek siedział twarzą do okna wychodzącego na

piaszczystą drogę przed domem, w fotelu na biegunach, kołysząc się miarowo. Co jakiś czas zdejmował nogi z biegunów fotela i sięgał po stojącą na podłodze butelkę z winem. Zdziacho kucnął przy magnetofonie i paląc papierosa bębnił palcami po blacie stolika w takt melodii płynących z magnetofonu.

Szymek właściwie nudził się i aby oddalić to niemiłe uczucie, postanowił upić się możliwie szybko. Kiedy opróżnił niemal całą butelkę, a Zdziacho odszedł od magnetofonu i sięgnął do zakąsek, Ruda Mary zaproponowała, aby potańczyli trochę w kółku. Po chwili wszyscy, oprócz Szymka, który konsekwentnie realizował swe zamierzenie, podrygiwali każdy sobie.

— Idzie ktoś — oznajmił Szymek, ale nikt go nie usłyszał. — Idzie ktoś — powtórzył podniesionym głosem, odwróciwszy się do tańczących.

— Kto? — spytał Pelikan.

— Jeszcze nie widzę dokładnie, ale... tak, to chyba Pędzel z Kajtkiem.

Szymek się nie mylił. Przedstawił obydwóch Lolicie i poznał Kajtkę z Pelikanem.

Melodia z magnetofonu urwała się nagle i Zdziacho podszedł, by przewinąć taśmę. Właśnie wtedy pojawiła się Bacha.

— No, jesteście nareszcie! — powitali ją radośnie.

— Nie mogłam wcześniej. Stara zachorowała i ktoś musiał przynieść jej lekarstwa.

Z talerzykami w rękach rozsiedli się na krzesłach, fotelach i wersalce, jedząc przygotowane przez Jankę i Lolitę potrawy.

— Słuchajcie, jeżeli ktoś jeszcze jest głodny — powiedział Pelikan.

— Albo spragniony — dorzuciła Janka.

— No, właśnie, to niech się sam obsłuży; szamunek stoi w kuchni, płyny wszędzie. A teraz niech każdy wsypie sobie kiry i wypijemy za tych co za murami.

— Właśnie! — krzyknął Zdziacho. — Za tych co za murami.

— Nareszcie — powiedziała Lolita.

— Za tych co za murami — zakrzyknęli.

Później było: „za tych co w śledztwie”, „za tych co będą siedzieć”, i „za tych co na morzu”.

Kiedy już wypili zdrowie wszystkich, z wersalki podniósł się Szeryf.

— Zapomnieliśmy o jednym, któremu już nic nie grozi — zawiesił głos, wszyscy milczeli. — Wypijemy za Romana. Jaki był, to był, ale był jednym z nas.

Opróżnili kieliszki. Naraz atmosfera stała się ciężka, wszyscy jakby sposepniali, nawzajem unikali spojrzeń; siedzieli bez ruchu z pustymi kieliszkami w dłoniach.

— Nasyp jeszcze — rzekł cicho Pelikan, widząc iż Kajtek sięga po butelkę.

Lolita, która nie знаła Spaśkowski ego, powiedziała:

— Ludzie, nie róbcie stypy. Nic mu już nie pomożecie. Stało się, to co się stało, i już się nie odstanie.

Nie poprawiło to nastroju. Jedyłą reakcją było częstsze sięganie po alkohol, dzięki któremu powoli zapominali o zamordowanym i zaczęli się odpręzać, wracać do rozmów.

Stefan, wysoki i przystojny chłopak z zabójczym wąsem, puścił oko do Rudej Mary, która dzięki swym długim nogom, gęstym rudym włosom, pięknie wykrojonej linii ust i brwi, a także dużemu biustowi była najatrakcyjniejsza spośród dziewczyn. Ruda Mary uśmiechnęła się szeroko i wolno podeszła do Stefana.

— Podobasz mi się — szepnęła. — Ty, ty, ty — mówiła zalotnie, szarpiąc jednocześnie za wąs Celmana.

— Ty też jesteś — podniósł kciuk.

— Nalej mi — podsunęła kieliszek.

— Może wolisz, żebym ci nasypał.

— Mnie możesz nalać — odparła marszcząc brwi. — Nie jestem zainteresowana grypsera.

— Bawmy się — przeciągnęła się Lolita. — Jachu — zwróciła się do Szeryfa — po co tu przyszłam? Chcę się bawić, chcę pić, chcę..

— To ostatnie później — przerwał z uśmiechem Szeryf.

— Zdzichu, podkręć magnet — zabelkotała Janka.

— Ty już masz dość. Prześpij się — poradził Pelikan. — W tamtym pokoju — wskazał ręką drzwi — stoi wolny tapczan. Potem cię obudzimy.

— Co?! Ja mam dość?! — podeszła do Pelikana. Ja?! To ty mnie jeszcze nie znasz — na moment przestała się chwiać i wyprostowała się, chcąc udowodnić, że jest najzupełniej trzeźwa.

— W porządku, w porządku — Pelikan uniósł ręce. — Jesteś w porządku, rób, co uważasz — zapewnił ją i odszedł.

— Nooo — powiedziała udobruchana i na powrót zaczęła się kiwać.

— Kajtek, zatańczysz ze mną? — spytała siedząca obok Bacha.

— Wolę się napić.

— Coś ty taki ponury? Co? — dopytywała się dziewczyna. — Przyszedłeś się bawić czy pić?

— Nie jestem ponury — zaperzył się Kajtek. — Chce mi się pić — i wstał.

— Też coś — burknęła urażona Bacha. — Pędzel! Chcę tańczyć!

Szymek przeszedł do kuchni, odkrajał sobie wielki płat mięsa, z lodówki wyjął butelkę zimnego piwa i powrócił na swój fotel.

— Nie masz tu jakiegoś telewizora? — zapytał Pelikana.

— Jest. Babka ogląda. Jak chcesz, to możesz do niej iść.

Szymek puknął się wymownie w czoło.

— Uff, ale gorąco — westchnęła Ruda Mary.

— To zdejmij tę bluzkę — poradził Stefan.

— Coś ty? Sama?

— Pomogę ci — zaofiarował się.

Wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

— Nie o to chodzi.

— A o co?

— O inne. Co one powiedzą?

— Co się martwisz. Dla nich to żadna nowość.

— Ale wiesz...

— Poczekaj, ponawiam z Pelikanem. - Zostawił dziewczynę i kiwnął głową na Pelikana. Rozmawiali chwilę; twarz Pelikana stopniowo rozjaśniła się, w końcu huknął Stefana w plecy i krzyknął.

— Słuchajcie, dziewczyny! Ogłaszamy konkurs na najładniejszy biust! Nagroda — butelka szampana!

Oczy dziewczyn jak na komendę pobiegły do Rudej Mary. Najwyraźniej stały na straconej pozycji. Pelikan zauważył te spojrzenia i uśmiechając się półgębkiem, dorzucił:

— Potem ogłosimy inne konkursy, tak, żeby każda miała szansę... Janka też.

— No ty, zbastuj nieco — wychrypiała Janka.

Pelikan nie zrażony tym ciągnął:

— Na najbardziej ululaną! Pierwsza nagroda murowana — zaśmiał się rozbawiony własnym dowcipem.

— To niech ktoś zasłoni okna powiedziała Bacha i pierwsza zaczęła zdejmować biały sweterek w czerwone pasy.

Szymek podniósł się z fotela i zaciągnął firany. Stefan wrócił do Rudej Mary.

— No, widzisz, teraz możesz to zdjąć. — Ruda Mary rozpięła niebieską bluzkę, zdjęła ją i rzuciła na regał z książkami.

— Ale ja jestem w sukience — obwieściła Lolita.

Czy ktoś ma coś przeciwko temu, by Lolita zdjęła sukienkę? — zakpił Pelikan.

— Niiieee! — krzyknęli chórem.

— Niech wam będzie — zgodziła się Lolita, zdejmując sukienkę przez głowę.

Janka rozebrała się ostatnia. Najpierw ściągnęła spodnie, potem białą bluzkę w wielkie kolorowe kwiaty, i siadła, by zdjąć majtki, ale powstrzymał ją Pelikan.

— Na razie tylko biustonosze.

— I tak wiem, co będzie dalej — mówiła cedząc słowa, potem czknęła. — Nie? — powiedziała dotykając majtek. — Nie?

— Przestań — warknął Szymek.

— A co? Przeszkadzam ci? Czk-czk-czk!

— Zaprowadźcie ją do łazienki — zakomenderował Szymek.

— Co się jej stało — powiedziała Lolita. — Taka chętna czy pijana?

W dziesięć minut później Bacha przyprowadziła Jankę z łazienki. Wszystkie stanęły w szeregu, jedna obok drugiej. Zapalono górne światło. Oczy wszystkich spoczęły na piersiach

Rudej Mary. Przez czas jakiś mężczyźni chłonili w milczeniu widok czterech obnażonych dziewczyn, potem Pelikan obwieścił:

— Pierwsze miejsce i butelkę szampana zdobyła — zrobił efektowną pauzę — Ruda Mary!

Werdykt został przyjęty głośnym „huraaaa!” wszystkich przedstawicieli męskiego rodu. Lolita, która po cichu robiła sobie pewne nadzieje, teraz zawiedziona podniosła z podłogi stanik, Szeryf przytrzymał jej rękę.

— Nie świruj. Zdążysz się ubrać.

— Jak chcesz — odparła obojętnie.

— Następny konkurs później — oznajmił Pelikan.

Ruda Mary podała butelkę szampana Stefanowi, ten otworzył ją sprawnie i rozlał do podstawionych szklanek. Zdzicho zgasił światło. I znowu zaczęły się tańce.

Szymek opuścił swój fotel i zbliżył się do siedzącego pod ścianą z nieodłącznym kieliszkiem w rękę Kajtka.

— Nie tańczysz? — zapytał, biorąc stojącą obok butelkę z wódką.

— Nie ma z kim — odparł tamten niechętnie i wziął z rąk Szymka butelkę.

— Weź Mary — powiedział Szymek.

— Widzisz? — Ruda Mary ciągnęła właśnie Stefana do sąsiedniego pokoju; trzasnęły drzwi.

— Spóźniłeś się. A odcisków byś sobie na niej nie porobił.

— Faktycznie. Ma czym oddychać... Zdrowie — Kajtek podniósł kieliszek, trącili się i popili piwem z butelek.

— Chodź — rzekł Szymek — pójdziemy coś wrzucić na ruszta. Głodny jestem jak cholera.

— Ja nie. Idź sam — Kajtek podniósł piwo do ust.

— No, chodź, chodź — Szymek ujął go pod ramię i podniósł.

— Chcesz wiejskiej chabaniny czy wolisz schab? — zapytał w kuchni.

— Wszystko jedno.

— To masz — podał Kajtkowi pół pęta kielbasy. — Tu są grzyby i chrzan. — Wyjął jeszcze z lodówki butelkę wódki i postawił na stole.

Wszedł Pelikan z Lolitą.

— Co? — zapytał wesoło. — Z głodu umieracie?

— Siadajcie — Szymek wskazał im krzesła. — Lolita, weź jakieś kieliszki i przynieś szlugi.

— Mam dwa pakulce — Pelikan położył dwie paczki sportów.

— Rozsyp, Kajtek — powiedział Szymek, lecz Kajtek zajęty rozmową z Lolitą nie usłyszał. — Karakanie! — Szymek trącił go w łokieć.

— No?

— Posyp.

— Ty! — wykrzyknął Pelikan, usiłując sobie jednocześnie coś przypomnieć. — Znałeś Spaśkowskiego, nie?

— Ja? — upewnił się Kajtek. — Trochę... A dlaczego pytasz?

— Wysyłaliśmy do ciebie z herbatnikiem gryps.

— Do mnie?!

— No jo... Chyba do ciebie. Zresztą nie pamiętam dokładnie.

— Musiało ci się coś pomylić. — Kajtek podniósł kieliszek. —

Zdrowie.

— Kto to właściwie był ten Spaskowski? — zapytała Lolita.

— Nie Spaskowski, tylko Spaśkowski.

— Nieważne.

— Mój wspólnik — poinformował ją Szymek.

Weszła Ruda Mary i Stefan.

— Już po krzyku? — spytał Pelikan.

— A już — odparła, przekrzywiając głowę. — A co? Żal?

— Siadajcie — zaprosił ich Szymek.

Kiedy również ci z pokoju przeszli do kuchni i rzucili się na jedzenie, do drzwi ktoś zapukał.

— Proszę!

W progu stanęła żona Celmana.

— Ach, ty kurwiarzu! — zaczęła na powitanie, dostrzegłszy od razu męża. — To ja siedzę z dzieckiem, a ciebie diabli noszą po melinach?!

— Proszę pani — wtrącił Pelikan — to nie jest melina.

— Niech pan lepiej milczy — zripostowała. — A ty — kiwnęła głową na Stefana — już! Zbieraj się!

— Czego się drzesz?! Przymknij tę mordę wreszcie! —

warknął wstając od stołu. — Idiotka jakaś — powiedział już spokojniej. — Wpada do obcego domu i wydziera gębę! — znowu podniósł głos.

— Dalej! Zbieraj się!

— Głupia — roześmiał się Celman.

— Nie idziesz?!

— No, nie idę.

— Milicja cię przywiezie! — I trzasnęła drzwiami.

— Ale ci dała — odezwał się Szymek. — Ty, ale lepiej idź, bo rzeczywiście sprowadzi mętów, a po co mają tu przyłązić.

— Chyba że tak — powiedział Celman. — No, to cześć! — podał wszystkim rękę. Ruda Mary podała mu usta, pocałował dziewczynę, jeszcze raz powiedział „cześć” i wyszedł.

— Ale narobiła bigosu — powiedziała Bacha. I zaczęła komentować wizytę Celmanowej.

Po północy Pelikan ogłosił kolejny konkurs i prywatka przekształciła się w typową orgię, która trwała do końca nocy, aż zmęczeni sobą i alkoholem pokładli się, gdzie kto mógł, i posnęli.

Dzień wstał pochmurny i parny. Porucznik Zgiet na prośbę żony załatwił kilka sprawunków i wolno wracał do domu, niosąc świeże owoce i warzywa. W połowie drogi przypomniał sobie, że nie kupił kapusty, mimo że żona przypominała mu kilkakrotnie. To dlatego, że o niczym innym nie myślał, tylko o tym cholernym morderstwie, skonstatował.

W domu nałożył nową koszulę, mundur i pojechał do komendy.

Wszedł młody podoficer, prowadząc dwudziestoparoletniego mężczyznę o krótkim nosie i wystraszonych oczach.

— Siadajcie — rozkazał porucznik.

Baumgarten usiadł naprzeciwko Zgieta.

— Dlaczego jestem zatrzymany? — wystękał.

— To ja jestem od zadawania pytań! Co robiliście we wtorek

piątego lipca, i w nocy z piątego na szóstego? — zapytał Zgiet, uważnie patrząc na przesłuchiwanego. Czy Baumgartena zmieniły wyraz: strach jakby przeszedł na plan drugi, ze wzroku przebijało pytanie: „o co mu chodzi?”, dopiero zza tego pytania wyzierał lęk. — Zapewne nie pamiętacie, co? Bo nie prowadzicie pamiętnika — rzucił kpiąco. — No, więc przypomnę wam. Otóż piątego lipca o godzinie piątej piętnaście pojechaliście autobusem do placu Rapackiego i wsiedliście następnie w autobus zakładowy; przed szóstą byliście w pracy. O czternastej trzydzięci jedliście obiad w „Smakoszu”, zapamiętała was bufetowa. Między szesnastą a siedemnastą byliście w piwiarni na Nowickiego, „U Panka”, żeby nie było niejasności. Co robiliście między czternastą trzydzięci a szesnastą? — porucznik zaczął bębnić palcami po aktach.

Przesłuchiwany milczał.

— Jak uważacie — powiedział od niechcienia porucznik. — Po wyjściu z piwiarni byliście w sklepie spożywczym na rogu Nowickiego i Podgórznej. Potem poszliście do domu. Zgadza się?

— Tak — odparł Baumgarten, który zaszokowany przysłuchiwał się słowom prowadzącego śledztwo.

— Dobra. Co było dalej?

— Dalej? — zastanawiał się przesłuchiwany. — Dalej byłem w domu i czytałem książkę. Nigdzie nie wychodziłem.

— Dlaczego podkreślacie to, że nigdzie nie wychodziliście?

— Nie podkreślam.

— A jednak mówicie o tym.

— Bo taka jest prawda.

— Załóżmy, że tak było. W nocy też czytaliście? — oficer nie spuszczał oka z przesłuchiwanego, a ten zmieszał się, czując przenikliwy wzrok.

Powiedział:

— Owszem. Czytałem. I to dość długo, gdyż książka była ciekawa.

— Pamiętacie może, do której?

— Chyba gdzieś do pierwszej, czy nawet drugiej.

— I nigdzie nie wychodziliście — upewniał się Zgiet.

— Powiedziałem już — nie.

Porucznik podniósł słuchawkę telefonu i kazał przyjść podoficerowi, który przyprowadził Baumgartena.

— Słuchajcie, Baumgarten, ja wiem więcej niż wam się wydaje. I radzę wam, zastanówcie się przed następnym przesłuchaniem.

Po czym zwrócił się do starszego sierżanta:

— Odprowadzić.

— Jak to! Nie będę zwolniony?

Zgiet zniecierpliwionym gestem nakazał wyprowadzić przesłuchanego.

Rozdział XIV

Wygramolił się z taksówki na szosie Chełmińskiej, tuż przy boisku Liceum Wychowawczyń Przedszkoli. Zataczając się i potykając o wykroty, szedł kiepsko oświetloną drogą do ulicy Malwowej. Minął budynek przedszkola, za którym panowały już przysłowiowe egipskie ciemności. Po lewej stronie drogi ciągnęły się sady, po prawej miał nasiąkniętą wodą łąkę. Rząd piętrowych i parterowych domów z wygaszonymi o tej porze światłami zaczynał się paręset metrów dalej.

Nagle wydało mu się, iż usłyszał za sobą jakiś ruch. Spróbował się odwrócić, lecz było już za późno. Poczł piekące uderzenie w tył głowy i upadł.

Nazajutrz koło południa do gabinetu porucznika Zgieta wpadł niczym piorun plutonowy Romańczuk.

— Znalaziono trupa! — krzyknął od progu.

— ??! .

— Dzwoniła wychowawczyni przedszkola przy Szosie Chełmińskiej. Niedaleko przedszkola dzieci natknęły się na leżącego na łące mężczyznę. Na włosach ma krew, nie rusza się, nie odycha.

— Wóz! — porucznik już wstawał od biurka.

Kilkanaście minut później byli w przedszkolu.

— Byłam z dziećmi na wycieczce — mówiła młoda wychowawczyni idąc pośród milicjantów na łąkę. — Wracając do przedszkola, weszliśmy jeszcze na tę łąkę. Dzieci rozbiegły się, szukając jakichś kwiatków i bawiąc się w berka. Ja rozmawiałam akurat z trzema dziewczynkami, kiedy nagle jeden z chłopców podbiegł do mnie nienaturalnie podniecony i wzięwszy mnie za rękę powiedział: „Proszę pani, tam leży jakiś pan”. Pomyślałam, że to pijak i kazałam dzieciom odejść, paru chłopców nie usłuchało i podeszło do leżącego; szeptali coś między sobą, potem umilkli i w chwilę później przybiegli do mnie, pokazując rękami w to samo miejsce, krzyčeli: „Proszę pani, tam, tam!”

— Jak daleko pani wówczas stała?

— Jakieś dwadzieścia metrów. No i... podeszłam: w trawie leżał mężczyzna, twarzą w dół, na włosach zobaczyłam zakrzepłą krew. Nie ruszał się. Przemogłam się i pochyliłam nad leżącym: nie oddychał. W każdym razie nie zauważyłam, żeby oddychał.

Dostrzegli teraz leżącego.

— Zabrałam dzieci i pobiegłam zatelefonować — zakończyła pobladła wychowawczyni.

Porucznik nachylił się i podniósł głowę leżącego.

— Jasna cholera! — puścił głowę i wyprostował się. — To Dolczewski! — Czy kiedy pani tutaj podeszła, on leżał w taki sam sposób, w tej samej co teraz pozycji? — zapytał porucznik.

— Dokładnie jak teraz — potwierdziła wychowawczyni.

W godzinę później Zgiet i Romańczuk udali się na ulicę Malwową. Ojca Dolczewskiego nie było. Nadal pozostawał na wsi. Stara matka Waclawa Dolczewskiego nie potrafiła powiedzieć nic konkretnego.

Przedwczoraj była jakaś prywatka, „czy jak oni to nazywają”, ale kto w niej uczestniczył nie wiedziała.

Samotna kobieta, lokatorka, też nie umiała niczego po-

wiedzieć. Nikogo nie widziała. Słyszała jedynie na górze jakieś głosy i śpiewy.

Małżeństwo, zajmujące dwa pokoje obok, było teraz nieobecne i porucznik zostawił w drzwiach wezwanie.

W drodze powrotnej Zgiet i Romańczuk wstąpili jeszcze do kilku domów najbliższych miejsca znalezienia trupa i przesłuchali mieszkańców. Nikt jednak nic nie słyszał, nie mówiąc już o widzeniu czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić na ślad.

— Jak w czeskim filmie — skonstatował plutonowy Romańczuk, kiedy wyszli na drogę.

Porucznik milczał.

Zgiet z łatwością ustalił, kto był uczestnikiem prywatki. Wszyscy zostali przesłuchani. Każdy z osobna potwierdził wersję dotyczącą przedwczorajszego wieczoru i nocy. Wszyscy, oprócz Celmana, wyszli z domu Pelikana koło południa i rozeszli się do swoich mieszkań.

Okazało się natomiast, że wczoraj Szymek, Pelikan, Sel i Celman spotkali się przypadkowo w mieście około szóstej po południu.

— Na rogu Szewskiej i Dzierżyńskiego — opowiadał Szymek.
— Pelikan zaproponował, żebyśmy wstąpili napić się czegoś na kaca.

— Co Dolczewski robił w tym czasie w mieście?

— Wyszedł, żeby się czegoś napić. Na Nowickiego wypił dwa piwa i ruszył do miasta, żeby znaleźć jednego z nas. tak w każdym razie powiedział, kiedy spotkaliśmy się.

— A wy co robiliście?

— Szliśmy na Nowickiego, też na piwo.

— Czy Dolczewski był pijany, kiedy go spotkaliście?

— Był skacowany. Podobnie jak my.

— Co było dalej?

— No więc poszliśmy pod „Trzy Korony”. Zamówiliśmy od razu po dwie wódki i czekaliśmy, aż kelnerka to przyniesie; piwa nie mieli. Przyniosła tę wódkę, a potem zamówiliśmy

jeszcze parę kolejek.

— Ile?

— Nie pamiętam. Może trzy, może cztery, nie więcej.

— O czym rozmawialiście?

— O niczym specjalnym; o prywatce, o dziewczynach; opowiedzieliśmy sobie parę kawałów, jak to przy wódce.

— Dalej?

— Przed dziesiątą Stefan Celman wyszedł z restauracji. Mówił, że idzie do domu. Wie pan, podczas prywatki wpadła jego żona i zrobiła awanturę. Stefan wrócił wtedy do domu. Widocznie nie chciał mieć w chacie cichych dni, i dlatego przed dziesiątą wyszedł. Zresztą nie wiem.

— Ciekawe — zauważył porucznik. — Raptem zaczęło mu zależeć, żeby żona nie miała do niego pretensji, żeby nie robiła mu wyrzutów... — porucznik zamyślił się.

Po chwili:

— Kiedy Celman opuścił restaurację, wyście jeszcze zostali, czy tak?

— Tak.

— Jak myślisz, kto mógł zabić Dolczewskiego? Komu mogło zależeć na jego śmierci? Najpierw Spaśkowski, teraz Dolczewski, obaj po wyjściu z więzienia. Coś w tym jest. prawda? Co robiliście dalej?

— Poszliśmy do „Piekiełka”.

— Kto to zaproponował?

— Ja.

— I...

— Wzięliśmy pół litra żytniej, jakieś zakąski i parę piw. Wypiliśmy to wszystko i Kajtek, to znaczy Sel, zaczął zbierać się do wyjścia. Nie było forsy. Co prawda Pelikan miał jeszcze pięć dych, ale to żaden pieniądz, a poza tym potrzebował na taksówkę.

— Więc kiedy skończyła się wódka, Sel wyszedł?

— Tak. Było kilkanaście minut po jedenastej. W jakieś pół godziny potem Pelikan był ugotowany. Wyszedłem z nim, wsadziłem w taksówkę i odjechał. Ja jeszcze wróciłem do „Piekiełka”.

— Mówisz, że w pół godziny później, po wyjściu Sela, Dolczewski był już pijany. Ale przecież wypiliście wszystko i nie mieliście pieniędzy. Więc czym się upił? Może dojrzywał przez ten czas? A poza tym, dlaczego wróciłeś do „Piekielka”, skoro nie miałeś już pieniędzy?

— Na dole siedziały dwie dziewczyny, znajome, i jakiś facet, którego widziałem pierwszy raz. Właśnie te dziewczyny załatwiły nam po dwie pięćdziesiątki, kiedy facet wyszedł do toalety. Dały nam też piwa. Powiedziały mi, żebym spławił Pelikana i przysiadł się do nich.

— Nazwiska i adresy!

Szymek, aczkolwiek niechętnie, podał je.

Potem porucznik Zgiet przesłuchał Marka Sela i Stefana Celmana, a także towarzystwo, z którym przebywał Wiesław Szymański po odprowadzeniu Ryszarda Dolczewskiego.

Wszystkie podane przez Szymka fakty zgadzają się z relacjami Celmana i Sela, analizował wyniki przesłuchań porucznik Zgiet. Towarzystwo, w którym bawił się Szymański opuściło lokal przed czwartą rano. (Dolczewski, według orzeczenia lekarza, został uderzony ciężkim przedmiotem najprawdopodobniej kamieniem, w tył głowy, wskutek czego nastąpiło pęknięcie kości czaszki, kości potylicznej, i wylew krwi do mózgu; napastnik zadał cztery ciosy, już pierwszy był śmiertelny; zgon nastąpił między godziną 0.30 a 1.30. Morderca zaciągnął ciało na ławkę i zbiegł).

Pan Stanisław i portier hotelowy zapamiętali Szymańskiego, Dolczewskiego i Sela, no i potwierdzili zeznania Szymańskiego — porucznik wyjął z paczki papierosa i zaciągnął się głęboko. — Tak... Natomiast wchodzącego do bramy Sela widział przed północą nocny stróż budowy, którą prowadzą naprzeciw kamienicy, w której mieszka Sel. Jeżeli chodzi o Celmana... Przed jedenastą w mieszkaniu Celmanów była awantura, którą słyszeli sąsiedzi. Dopiero po północy zgasło w mieszkaniu Celmanów światło... Pogodzili się w końcu i poszli spać? Zeznania Celmanowej i jej męża są niemal identyczne, różnią

się jedynie w kwestii dotyczącej samej kłótni, ale to nie jest istotne dla sprawy.

Kto więc mógł zabić Dolczewskiego? Kto zabił Spaśkowskiego? Obaj zginęli po wyjściu na wolność. Czy należy łączyć te dwa morderstwa? I jeszcze jedno: Jeżeli Baumgarten zamordował Spaśkowskiego, to nie mógł zamordować Dolczewskiego. Szymański prawie do rana był w „Piekiełku”. Po odprowadzeniu Dolczewskiego do taksówki nigdzie nie wychodził... Czy Celman albo Sel mogli wyjść niepostrzeżenie z mieszkania? Czy ma sens zatrzymanie w areszcie Sela i Celmana do czasu wyjaśnienia zagadki, do czasu znalezienia sprawcy. Czy może lepiej wypuścić ich i obserwować? Popełniłem błąd, popełniłem błąd w chwili, gdy kazałem zaprzestać obserwowania Dolczewskiego. Ale przecież, do cholery, nie mogłem cały czas trzymać ludzi przy Dolczewskim... — Puszczę jednak tych dwóch i zobaczymy, jaki to przyniesie wynik — skonstatował głośno. I jeszcze raz powrócił myślami do zebranych już ustaleń

Romańczuk zapukał do drzwi i nie czekając na wezwanie, wszedł do środka. Zbliżył się do biurka Zgieta i położył otwartą paczkę papierosów.

— O co chodzi?

Plutonowy wskazał zapisany na odwrocie niebieskim tuszem numer telefonu i dopisek w nawiasie (przerywacz).

— Znalezione to w kieszeni Dolczewskiego.

— I dopiero teraz z tym przychodzisz? — porucznik spojrzał ostro na plutonowego.

— Obywatel porucznik mówił, żeby nie przeszkadzać.

— Wiesz, co to za numer?

— Stacji benzynowej.

— Dobra. Zobaczymy, co też to za interes miał Dolczewski na stacji?

— Jego ojciec ma warszawę — wtrącił plutonowy. — Tu — pokazał paczkę — napisał o jakimś przerywaczu. Może chodziło o przerywacz do samochodu?

Porucznik nic nie odpowiedział.

Kiedy przechodzili obok dyżurki, zapytał:

– Pojechali już do mieszkania Baumgartena?

– Tak jest. Pół godziny temu.

– Dobra. Idziemy — zwrócił się do Romańczuka i wyszli.

W domku gospodarczym, gdzie mieszkał Baumgarten, ekipa funkcjonariuszy MO dokonywała rewizji. Przestraszona gospodyni dopytywała się nieustannie:

– Ale co się stało? Co się stało?

Pokój miał cztery metry długości i dwa szerokości. Umeblowanie było skromne i typowe dla tego rodzaju pokoi. Stało tu dość masywne drewniane łóżko, dwudrzwiowa szafa, kwadratowy stół i dwa obdrapane krzesła. Zaraz przy drzwiach stała mała szafka, a na jej kamiennym blacie — maszynka elektryczna. Za parawanem, naprzeciwko okna, znajdowała się druga szafka bliźniaczo podobna do pierwszej. Na wprost drzwi wyrastał duży kafłowy piec. Nad łóżkiem wisiała półka z książkami. Książki i gazety wałały się także pod łóżkiem i obok stołu. Większość dotyczyła marynistyki i budowy jachtów, resztę stanowiły małe tomiki z popularnej serii „Tygrysa”.

W szafie znaleźli czarny półgolf.

– Bierzemy ten sweterek — powiedział jeden z milicjantów i zapakował czarny półgolf do przepastnej torby, którą mieli z sobą.

Szczególną uwagę zwrócili na noże. Nie znaleźli takiego, jakiego szukali. Wszystkie były krótkie i tępo zakończone — typowe noże ze stołówek. Przeszukali piec, który służył latem za lodówkę — znaleźli w nim masło roślinne i dwie konserwy. Opukali ściany i podłogę. Spenetrowali każdy centymetr podłogi. Jediną zdobyczą okazał się czarny sweter.

– Panowie — powiedziała kobieta, kiedy milicjanci wyszli z domku. — Dostałam niedawno list od Baumgartena. Z Giżycka...

– Co to za list?

– Zaraz przyniosę.

List był krótki. Baumgarten donosił, że jest już na miejscu i ma piękną pogodę. Prosił też (i to był powód do napisania listu), aby gospodyni sprawdziła, czy wyłączył maszynkę, gdyż cały czas ma to w głowie. Niżej podał adres, na który prosił o odpowiedź.

To było wszystko.

Milicjanci zastanawiali się chwilę, czy wziąć list, czy też nie brać. W końcu zdecydowali się na to pierwsze i wrzucili list do torby.

Wizyta, którą pracownikom stacji złożył Zgiet w towarzystwie Romańczuka, nieoczekiwanie się przedłużała.

Najpierw milicjanci musieli poczekać, aż pracownicy stacji obsłużą czekających w pokaźnej kolejce kierowców, a gdy już tego dokonali, nadeszła partia oleju. Dopiero kiedy uporali się ze wszystkim, porucznik mógł przystąpić do pytań.

Obaj pracownicy, trzeci miał przyjść lada chwila, kategorycznie zaprzeczyli, jakoby znali Ryszarda Dolczewskiego. Pierwszy raz. słyszeli to nazwisko, zdjęcia również niczego im nie mówiły.

— O, idzie Bolek. Może on będzie coś wiedział — wykrzyknął nagle jeden z pracowników na widok przechodzącego obok mężczyzny w rozchełstanej koszuli.

— Akurat — powiedział drugi.

— Niech się pan powstrzyma z komentarzami — uciął plutonowy Romańczuk.

Porucznik w paru słowach wyjaśnił przybyłemu, o co chodzi.

— Czy zna pan Ryszarda Dolczewskiego? — przeszedł do pytań.

— Nie — przecząco pokręcił głową zapytany.

Zgiet po raz trzeci w ciągu godziny wyjął zdjęcia denata i podetknął je pod nos pracownikowi stacji. Ten przez moment z zainteresowaniem patrzył na zdjęcie i znowu zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie znam — powiedział spokojnie.

— Panie — porucznik stracił w końcu cierpliwość — ten

człowiek musiał u was być albo też w jakiś sposób kontaktować się z wami. Tymczasem wszyscy twierdzicie, że go nie znacie. Żaden z was o nim nie słyszał!

Przesłuchiwany rozłożył tylko ręce i wznosił ramiona wykrzywiając przy tym twarz.

Zgiet wyjął paczkę papierosów znaną w kieszeni denata.

— Tę paczkę znaleźliśmy w kieszeni zamordowanego. Tu jest zapisany numer waszej stacji. Zgadza się czy nie?

— No tak — przyznał zapytany. — Ale ja nie znam tego człowieka, no, zamordowanego.

— A ten napis niczego panu nie mówi? — wskazał porucznik.

— Nie. Nic z tego nie rozumiem. O niczym nie wiem — powtórzył z uporem.

— Więc skąd, u diabła, denat miał pana numer?! — huknął rozeźlony porucznik.

— To nie jest tylko mój numer — odparł roztropnie pracownik stacji. — Przecież sam tutaj nie pracuję.

— Pańscy koledzy zostali już przesłuchani — podkreślił z mocą Zgiet.

— No i sam pan widzi — powiedział dalekim głosem pracownik.

— Nic nie widzę poza numerem waszej stacji, napisem „przerywacz” i was mówiących mi, że nigdy nie widzieliście człowieka, który miał wasz telefon.

Przez pewien czas trwało milczenie, które przerwał porucznik.

— Niech pan sobie przypomni, może ten człowiek był tu kiedyś? Może nawet dawno temu. Może zapisał numer w notesie czy na jakiejś kartce, a ponieważ miał zadzwonić, przepisał numer na paczkę papierosów, aby nie zapomnieć...

— Przecież już powiedziałem: nie znam żadnego Dolczewskiego. I pierwszy raz widzę to zdjęcie — przesłuchiwany upierał się przy swoim i Zgiet zwrócił mu uwagę:

— Niech pan się trochę zastanowi, spróbuje sobie przypomnieć. Pan od razu, bez zmruczenia powieki, bez jakiegokolwiek zastanowienia odpowiada przecząco.

— Nad czym mam się zastanawiać, kiedy go nie znam.

— W koło Macieju — powiedział półgłosem Romańczuk.

Porucznik westchnął i wyjął z kieszeni papierosy, powiedział:

— A może ktoś inny prosił pana o telefon, aby móc zadzwonić i zapytać o ten przerywacz?

Przesłuchiwany puścił to pytanie mimo uszu i również zapalił.

— Może jednak przypomni pan sobie — powtórzył porucznik.

— Kiedy nie mam sobie nic do przypomnienia.

— Nie musiało to być wczoraj czy przedwczoraj — perswadował Zgiet. — Ale może tydzień, dwa tygodnie temu albo nawet wcześniej.

— Traci pan czas — mruknął sennie przesłuchiwany.

— Gdyby jednak coś się panu przypomniało, niech pan do mnie przedzwoni. — Zgiet zapisał numer telefonu na brzeżku gazety i oderwawszy papier, wręczył pracownikowi.

Kiwnął głową na Romańczuka i skierował się do wyjścia.

Nie uszli jeszcze dwudziestu kroków, kiedy usłyszeli głośne wołanie:

— Halo! Halooo!

Przed stacją stał przesłuchiwany przed chwilą pracownik i kiwał do nich ręką. Milicjanci spojrzeli na siebie bez słowa i zawrócili.

— Wie pan, coś mi się przypomina...

— No...

— Kilka dni temu był tutaj pewien facet i chyba, nie pamiętam dokładnie, pytał o jakąś część. Nie jestem pewien, czy chodziło akurat o przerywacz. Ale kiedy zapisał pan na gazecie swój numer, przypomniało mi się, że on zapisywał, może i numer telefonu, właśnie tak, jak pan — zamilkł na chwilę i widać było, że usiłuje odtworzyć sobie ów moment. — Pytał o jakąś część — podjął — o jakąś część... Zaraz, zaraz, to mógł być przerywacz. Tak! No, tak — uśmiechnął się jakby przepraszająco. — Chodziło o przerywacz.

— Nareszcie — odetchnął porucznik. — Kiedy to było, może pan sobie przypomnieć?

— Cholera — podrapał się w głowę — no, kilka dni temu. Na pewno nie więcej jak tydzień. Chociaż może... może i więcej, ale

raczej nie.

— Pamięta pan, jak wyglądał?

— Nie pamiętam dokładnie. Ale nie był to ten ze zdjęcia. Tego jestem pewien.

— Był samochodem? Tankował benzynę?

— Chyba nie miał wozu... Tak, był pieszo. Uhm, był pieszo. Romańczuk z uśmiechem pokiwał głową.

Zgiet spytał:

— Czy dzwonił?

— Nie. A w każdym razie ja nic o tym nie wiem. Możemy zapytać kolegów — odparł i wszedł do stacji. Milicjanci weszli za nim. — Czy dzwonił jakiś facet i pytał o przerywacz? — zwrócił się do współpracowników, lecz ci tylko wykrzywili usta i pokręcili głowami. — Na pewno?

— Jasne.

— A w ogóle był do mnie jakiś telefon?

— Był — roześmiał się jeden z pracowników. — Dzwoniła twoja dziewczyna.

Rozmawiali jeszcze kwadrans, po czym Zgiet pożegnał się i opuścił stację.

Plutonowy Romańczuk został.

Sierżant Obarski przesłuchiwał już niemal wszystkich kierowców taksówek; żaden nie miał wczorajszej nocy kursu na Wrzosa.

Na wprost restauracji „Trzy Korony” zatrzymała się czarna wołga, z której wysiadły dwie młode kobiety.

Sierżant podszedł do kierowcy.

— Panie, postój jest dalej — oznajmił kierowca i włączył bieg. Sierżant wyjął legitymację.

— O co chodzi? — zapytał kierowca, kiedy Obarski zajął miejsce w wozie.

— Miał pan wczoraj kurs na Wrzosa?

— Wczoraj? Zaraz — i kierowca zaczął głośno wyliczać wszystkie odbyte kursy. — No, tak — powiedział naraz — przed „Heliosem” zatrzymało mnie jakichś dwóch facetów; jeden był

zalany i ten trzeźwiejszy prosił, żebym odstawił kumpla na Malwowę. Od razu powiedziałem, że na Malwowę nie wjadę. Wie pan, jakie tam drogi. I w ogóle nie chciałem jechać, zmęczony byłem; człowiek siedzi za kółkiem cały dzień i pół nocy, to w końcu ma dość, no i miałem zamiar jechać właśnie do garażu, ale ten trzeźwiejszy zaczął prosić, a człowiek jest tylko człowiekiem. Stało na tym, że podrzuciłem gościa na Szosę Chełmińską. Wysadziłem go przy „przedszkolankach”. A co? Stało się coś?

— Pamięta pan, jak wyglądał ten facet, którego pan wysadził na Szosie?

— Miał krótkie włosy, to zauważyłem od razu. Poza tym wyglądał jak każdy inny, wiele mu się nie przyglądałem,

— Jak był ubrany?

— W brązowy chyba granitur, koszulę niebieską zdaje się. I to chyba wszystko.

— Rozmawialiście?

— Powiedziałem mu tylko, że dalej nie jadę, bo nalegał, żebym jednak wjechał w te dziury, a później resor strzeli, a gość da dychę więcej i myśli, że kierowca powinien być zadowolony. Zapłacił i wysiadł.

— Zauważył pan, dokąd poszedł?

— Skręcił zaraz przy boisku w tę drogę do przedszkola. — Zakręciłem i pojechałem do domu, do garażu.

— Czy nikt na niego nie czekał w pobliżu? Czy zauważył pan może jakichś ludzi, kiedy facet wysiadał?

— Panie sierżancie — powiedział pogodnie kierowca — nie za dużo pan ode mnie chce, żąda? Czy ja jestem komputer? Ale chyba jakaś para szła chodnikiem po przeciwnej stronie. Nie jestem tego jednak pewien, możliwe że widziałem ją, tę parę, w innym miejscu, gdzie indziej. Nie mogę panu dokładnie powiedzieć.

— Tak, rozumiem — powiedział sierżant. — Do widzenia, bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

Tymczasem porucznik Zgiet po raz drugi kazał przypro-

wadzić Baumgartena. Po raz drugi próbował wydobyć od przesłuchiwanego dodatkowe zeznania i po raz wtóry Baumgarten opowiedział wszystko dokładnie tak samo, jak poprzednim razem, no i z powrotem powędrował do celi.

Od paru dni plutonowy Romańczuk pełnił dyżur na stacji benzynowej.

Rozdział XV

— Mamy faceta, który przyszedł po przerywacz — zakomunikował na pozór obojętnie plutonowy Romańczuk i ciężko usiadł na krześle.

— No, ty, nie bądź taki tajemniczy! — rzekł porucznik Zgiet, widząc, że plutonowy czeka na pytanie „kto to taki?”

— Marek Sel. Zgłosił się przed pół godziną. Mówił, że rozmawiał przed dwoma tygodniami z jednym z pracowników stacji i miał zadzwonić, ale ponieważ akurat przechodził koło stacji, wpadł osobiście. Bolesław Jarząbek, ten który nam pomógł, poznał go. Nie, nie, Sel o tym nie wie, to znaczy nie wie, że został rozpoznany.

— Gdzie jest?

— Na dyżurce.

— Dawać go tutaj.

Plutonowy wyszedł i po chwili przyprowadził Sela.

— Spotykamy się znowu — powiedział porucznik, patrząc przenikliwie.

— Nie wiem, o co chodzi.

— Zaraz się dowiesz. Czy to twoje pismo? — porucznik wyjął z szuflady paczkę papierosów znaną w kieszeni Ryszarda Dolczewskiego.

Marek Sel zawahał się.

— Twoje! Nie próbuj kręcić!

— No, moje. I co z tego? — odparł hardo.

— Powiedz mi, jakim cudem paczka znalazła się w kieszeni

zamordowanego?

— Jak to?

— No właśnie. Dlaczego ta paczka była w kieszeni Dolczewskiego?

— To niemożliwe!

— To fakt.

Widać było, że przesłuchiwany stara się gorączkowo pozbierać myśli.

— Byłeś już przesłuchiwany, i ustaliliśmy, że spędziłeś z Szymkiem, Celmanem i Dolczewskim kilka godzin. Po rozstaniu się z Celmanem, poszliście do „Heliosu”, skąd wyszedłeś po jedenastej. Około pół godziny później z „Heliosu” wyszedł Dolczewski. I najpóźniej w dwie godziny po wyjściu Dolczewski został zamordowany.

— Byłem... — Nagle błysnęła mu jakaś myśl. — Więc pewno Dolczewski przez pomyłkę wziął moje papierosy!

— Słusznie. I byłeś ostatnim, nie licząc Szymka i kierowcy taksówki, z którym Dolczewski miał kontakt. O 1.30 już nie żył.

— Ale przecież...

— Szymek i ty byliście ostatnimi, którzy widzieli Dolczewskiego — podkreślił porucznik. — Tylko że Szymański wyszedł z „Heliosu” około czwartej nad ranem, kiedy Dolczewski od dwóch godzin już nie żył. Wy — porucznik użył oficjanej formy — poszliście do domu... Tylko kto to potwierdzi, że potem nie wychodziliście?

— ...

— Na razie zostaniecie zatrzymani. Wyprowadzić — rozkazał Romańczukowi.

— Jaki mógłbym mieć powód?! — wykrzyknął jeszcze Sel. — Nie miałem żadnego.

— Nikt nie morduje bez powodu.

Porucznik podniósł słuchawkę telefonu: — Przywieźcie mi Szymańskiego.

W trzydzieści minut później Zgiet rozpoczął ponowne przesłuchanie Szymańskiego, a zaraz potem Lolity.

W wyniku obu przesłuchań jeszcze raz pojechał do Iławy.

Po uzyskaniu od prokuratora zezwolenia, ekipa funkcjo-

nariuszy MO znalazła się w mieszkaniu Marka Sela.

Natychmiast po rewizji kapral Brzostek pojechał do Bydgoszczy.

O godzinie dwudziestej pierwszej w mieszkaniu państwa Zgietów zadzwonił telefon. Pani Anna podniosła słuchawkę.

— Tak. Dobrze. Zaraz poproszę — odjęła słuchawkę od ucha i powiedziała do męża z niechęcią: — Porucznik Zgiet proszony, jak zwykle.

— Słucham, Zgiet. — W następnej chwili twarz porucznika stężała. — Dobra. Przyślijcie wóz. Co? A, już jedzie... dziękuję wam — porucznik rozchmurzył się i odłożył słuchawkę.

Pani Anna patrzyła na męża bez słowa.

— Nie złość się, Aniu. To już koniec. I miejmy nadzieję, że znowu będzie spokój. Przynajmniej względny spokój — dodał, widząc iż żona zamierza coś powiedzieć.

Narzucił marynarkę i wyszedł.

Fiat z piskiem opon zakręcił na asfaltowej jezdni i zatrzymał się przy poruczniku. Jechali w milczeniu.

Dwadzieścia po dziewiątej porucznik Zgiet odczytywał meldunek z Wojewódzkiego Laboratorium Kryminalistyki.

— Słuchajcie no, Sel, co to za list wysłał do was z Iławy Dolczewski?

— Jaki list?

— Właśnie o to pytam.

— Nic nie wiem o żadnym liście.

— Znałeś Spaśkowskiego? — spytał porucznik.

— Trochę.

— Co to znaczy „trochę”?

— No, wiedziałem, że to wspólnik Szymańskiego i Normana.

— I nic więcej?

— Nic.

— Na pewno?

— Tak.

— To dlaczego Spaśkowski napisał do ciebie list z Iławy? Dlaczego do ciebie, a nie do Szymańskiego czy Normana? I

żeby nie było niejasności: list był od Spaškowskiego, lecz wysłał go Dolczewski wraz z innym więźniem. Przemycili list na wolność i wysłali, lecz przedtem... przedtem list został przeczytany! Co to za pieniądze miałeś przygotować?

Przesłuchiwany zbladł.

— Zamordowałeś Spaškowskiego, któremu miałeś dać jakieś pieniądze. A ponieważ wiedział o tym, o liście i pieniądzach, Dolczewski, zamordowałeś i jego.

— Nie — wydusił z siebie Sel.

— Popełniłeś jednak kilka błędów — mówił porucznik — a tutaj wskazał leżący na biurku meldunek z Bydgoszczy — jest dowód. Możesz się z tym zapoznać.

Sel gwałtownie wyciągnął rękę, pochylił się i zaczął czytać. Kilkanaście sekund później ręka leżąca na biurku znieruchomiała. Głowa Kajtka opadła na piersi. Siedział tak dwie albo trzy minuty. — Nie miałem pieniędzy — powiedział raczej do siebie niż do porucznika.

— Dlaczego Spaškowski żądał od ciebie pieniędzy?

— On widział, jak, ja uderzyłem jednego mężczyznę... To było na Podgórną. Byłem po paru piwach i winie. Szedłem akurat Podgórną. Nie miałem papierosów. Z naprzeciwnika szedł jakiś facet. Chciałem, żeby mi dał zapalić. Powiedział, że jest niepalący, a ja widziałem, jak palił, kiedy był jeszcze dalej. Chciałem od niego papierosa. Nie dał mi. Więc uderzyłem go. Ponad dwa tygodnie przeleżał w szpitalu. To było na rok przedtem, zanim Spaškowski i jego wspólnicy poszli siedzieć. Na ulicy było ciemno. Żadnych ludzi. Milicja nie mogła znaleźć tego, który uderzył, czyli mnie.

— Mówisz, że na rok przed aresztowaniem Spaškowskiego?

— Tak.

Sprawdzimy to, pomyślał porucznik. A z drugiej strony, jak to wszystko wcześniej czy później wychodzi na jaw.

— Co było dalej?

— Na ulicy był wtedy Spaškowski. Nie widziałem go, ale on widział mnie. Poszedł za mną, aż do mieszkania, powiedział, co widział.

— Czy przedtem znałeś Spaškowskiego?

— Nie... W tydzień potem było włamanie do sklepu w Łysomicach. Spaśkowski mnie do tego zmusił. Powiedział, że jak tego nie zrobię, to on będzie wiedział, jak wykorzystać to, co wie o mnie. Milicja szukała winnego. Tamten jeszcze leżał w szpitalu. Podobno nic nie pamiętał. Zresztą wtedy była noc... Po włamaniu Spaśkowski cały towar wziął dla siebie, mnie dał parę czekolad i paczek carmenów. W miesiąc później było włamanie w Lubiczu. Też mnie do tego zmusił. A potem, ile razy nie miał pieniędzy, przychodził do mnie. Musiałem dawać. Jak nie miałem, musiałem pożyczać — przerwał na dłużej. — Bałem się więzienia. Nie chciałem tam iść. Bałem się więzienia — powtórzył i umilkł.

Po paru minutach podjął:

— Wreszcie Spaśkowski wpadł. Ja byłem akurat na zwolnieniu lekarskim, miałem złamaną nogę, dlatego wtedy z nim nie byłem. Zresztą oni chyba częściej musieli włamywać się do różnych sklepów, bo prawie zawsze mieli pieniądze. Spaśkowski nic im o mnie nie powiedział. Dla innych byłem jego znajomym, nic więcej. Kiedy oni byli akurat ze Spaśkowskim i ja byłem z nimi, to odzywał się do mnie jak do kolegi. Ale kiedy byliśmy sami, to nieraz od niego oberwałem. Ciągle mi groził, że jak czegoś nie zrobię, to on pójdzie na milicję. Jak poszedł siedzieć, to odetchnąłem. No, ale w czerwcu przyszedł od niego list. Miałem szykować forszę na jego powrót... Wtedy, wtedy postanowiłem go zabić.

— A Dolczewski?

— Dolczewski wysłał ten list. Nie wiedziałem o tym. Spytał mnie na prywatce, czy znałem Spaśkowskiego i powiedział, że wysłał list Spaśkowskiego do mnie. Ale wszedł Celman i jedna dziewczyna, więc przestaliśmy o tym mówić... Na drugi dzień spotkaliśmy się, przypadkowo, i poszliśmy do „Piekielka”.

— Przedtem do „Trzech Koron”.

— Ale dopiero w „Piekielku” Dolczewski znowu zaczął mówić o Spaśkowskim i tym liście. Powiedział mi, że on wie, że miałem dać Spaśkowskiemu forszę. Powiedział: „No, no, no, czy ty czasem nie maczałeś w tym palców?” Powiedział to niby ze śmiechem. Wtedy ja go zapytałem: „O co ci chodzi?” Wtedy on:

„Nie udawaj — nie, powiedział — nie świruj, że nie wiesz, o co biega”. Powiedziałem, że nie wiem, o co mu chodzi. „Chyba nie czytasz kryminalów”, on na to. I przyszedł Szymek.

— Szymańskiego nie było?

— Był przy innym stoliku. Rozmawiał wtedy z jakimiś dziewczynami.

— I co?

— No i wypiliśmy jeszcze trochę, a potem ja wyszedłem.

— Niby do domu, wyszedłeś jednak zaraz przez podwórze i udałeś się na Malwową, żeby poczekać na Dolczewskiego?

— Tak. Tak było.

— Gdzie na niego czekałeś? W którym miejscu?

— Za przedszkolem.

— Dlaczego tam? Przecież Dolczewski mógł wysiąść dopiero przed domem?

— Jak jechałem na prywatkę, to taksjarsz nawet nie chciał słyszeć o Malwowej. Wysadził mnie przy boisku.

— A jednak Ruda Mary, Celman i Szymański przyjechali taksówką pod sam dom.

— Tego nie wiem. Może i przyjechali, z dziewczyną zawsze łatwiej, nie.

— Dalej.

— Dalej już pan wie.

Porucznik milczał chwilę, potem zapytał:

— Po co ci był potrzebny przerywacz?

— Obiecałem to załatwić szwagrowi.

Zgiet i Obarski zapukali do drzwi gabinetu majora Grochalskiego.

— Siadajcie — major uściśnął dłonie porucznika i sierżanta.

— A teraz chciałbym usłyszeć szczegóły.

— Otóż, jak wiesz, zatrzymałem Czesława Baumgartena. Zrobiono w jego mieszkaniu rewizję; znaleziono czarny sweter. Gipsowe odlewy butów zdjęto na miejscu. Wszystko zostało wysłane do Bydgoszczy. Wszystko, to znaczy: czarna nitka znaleziona w dniu morderstwa na pniu sosny i te rzeczy, które już wymieniałem. Baumgarten siedział w więzieniu razem ze Spaśkowskim i został zgwałcony przez współwięźniów: takie

przypadki, niestety, jeszcze się zdarzają. Człowiek zgwałcony, czyli cwel, jak mówią w więzieniu, automatycznie traktowany jest przez współwięźniów jako istota niższego rzędu. Spełnianie różnych posług, znoszenie szykan, zarówno fizycznych jak i psychicznych, to wszystko prowadzi nieuchronnie do depresji, a ta z kolei może pchnąć człowieka nawet i do zabójstwa. Oczywiście dla laika nie jest to żaden powód, jak wiesz. No więc jeżeli to Spaśkowski dokonał owego gwałtu na Baumgartenie lub był jego inicjatorem, Baumgarten mógł poprzysiąc sobie zemstę. Idziemy dalej. Spaśkowski opuszcza więzienie, Baumgarten dowiaduje się o tym i czeka na niego. Może czekać na dworcu, potem iść czy też jechać, w zależności od tego, jak postąpi Spaśkowski, i w dogodnym miejscu dokonać zemsty. To dogodne miejsce to lasek przy Osiedlowej. Akurat w tym przypadku, bo gdyby Spaśkowski szedł inną drogą, Baumgarten spróbowałby dokonać tego w innym dogodnym miejscu, a gdyby nie miał ku temu okazji, poczekałby na odpowiednią chwilę: to oczywiste. Ale... Wyniki analiz świadczą na korzyść Baumgartena. Nasze rozumowanie było więc błędne. Przed tym wszystkim przesłuchaliśmy współników Spaśkowskiego. Wszyscy siedzieli za włamania do sklepów. Więc może dintojra? Lecz dwóch współników miało niezbite alibi.

Trzeci jest jeszcze w więzieniu. Morderstw na tle rabunkowym było raczej mało prawdopodobne. Przesłuchaliśmy jednak wszystkich, którzy mogliby coś na ten temat powiedzieć. I nic — porucznik rozłożył ręce. — Aż tu nagle śmierć Dolczewskiego. Też siedział w Iławie. Znał Spaśkowskiego. No i dalej właściwie wiesz: prywatka, „Piekiełko”, przerywacz...

— No właśnie, do czego był mu potrzebny. Przecież nie miał samochodu.

— Samochód ma jego szwagier. Zeznał, że rozmawiał z Selem, i ten obiecał mu to załatwić. A tak na marginesie, to podobno trudności z przerywaczami do fiatów.

— Ale wracając do rzeczy...

— Słusznie. No więc Dolczewski za dużo wiedział, dlatego zginął. Jeszcze raz przesłuchałem Szymańskiego i okazało się,

że Dolczewski wspominał coś o jakimś liście Spaškowskiego do Sela. Sel był ostatnim, obok Szymańskiego, który rozmawiał z Dolczewskim. Posłałem ekipę do mieszkania Sela. Brzostek wziął dwa swetry, buty i zawiózł do laboratorium. Gipsowe odlewy butów Sela pokrywają się dokładniusięńko ze śladami zdjętymi w miejscu zbrodni. Poza tym za pomocą powiększających układów optycznych na jednym ze swetrów Sela znaleziono drobinki pyłu z odzieży Spaškowskiego. Wreszcie nitka znaleziona na korze drzewa ponad wszelką wątpliwość pochodzi ze swetra Sela.

— O jakim to liście wspominał podczas prywatki Dolczewski?

— zapytał major.

— To i motywacje .Sela zostawiłem na koniec — uśmiechnął się porucznik Zgiet. I zaczął opowiadać.

Wygramolił się z taksówki na szosie Chełmińskiej, tuż przy boisku Liceum Wychowawczyń Przedszkoli. Zataczając się i potykając o wykroty, szedł kiepsko oświetloną drogą do ulicy Malwowej. Minął budynek przedszkola, za którym pannaowały już przysłowiowe egipskie ciemności. Po lewej stronie drogi ciągnęły się sady, po prawej miał nasiąkniętą wodą łąkę. Rząd piętrowych i parterowych domów z wygaszonymi o tej porze światłami zaczynał się paręset metrów dalej.

Nagle wydało mu się, iż usłyszał za sobą jakiś ruch. Spróbował się odwrócić, lecz było już za późno. Poczłł piekące uderzenie w tył głowy i upadł.

ISBN 83-215-8246-X

Cena zł 60,-

